Nr. 5. Warszawa, dnia 22 Stycznia (3 Lutego) 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie. z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. [illegible] za wiersz lub jego miejsce.

TREŚC: **POLITYKA**: Wojna w Afryce, I. — Tydzień polityczny. — **ODCINEK**: Duchy. Część druga: Koniec świata, (c. d.) p. Aleksandra Świętochowskiego. — **ŻYCIE SPOŁECZNE**: Akcya zbiorowa. — Kronika poznańska, p. ct. - Kartki krakowskie, p. x. y. z. — **FEJLETON**: Liberum veto, p. Posła Prawdy. — **BADANIA NAUKOWE**: John Ruskin, II, p. S. Posnera. — **LITERATURA I SZTUKA**: Literatura polska, p Władysława Bukowińskiego. - Malarstwo, III, p. Michała Mutermilcha. — Notatki literackie i artystyczne.—**POEZYE**: Dusze, p. Tadeusza Skargę. — W dali. — Kronika.— Odpowiedzi Redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Abonentom, którzy wnieśli prenumeratę w ostatnim tygodniu, chwilowo wyczerpane numery 1, 2 i 3 będą wysłane później.

POLITYKA.

Wojna w Afryce.

I.

W środku stycznia, w d. 15 i 16 t. m., Buller spróbował jeszcze raz szczęścia w natarciu na Boerów za Tugelą i przyniesieniu odsieczy Ladysmithowi. Za pierwszym razem, w d. 15 grudnia, nacierał od czoła na Colenso, ówczesny pogrom, haniebna utrata dział, wystawienie żołnierza, przechodzącego rzekę w bród, na morderczy ogień — pokazały mu niestosowność działania wprost na środkową pozycyę nieprzyjaciela i zaleciły strategią oskrzydlenia, zaatakowania, jeżeli nie obu boków, to przynajmniej jednego. Na skrzydłach nie przewidywał ani takiej liczebnej siły, ani takich mocnych pozycyi, jak w środku; mógł nawet liczyć na zaskoczenie znienacka, gdyby punkt przekroczenia Tugeli odsunął daleko od Colenso, gdzie, w słusznem domniemaniu, Boerzy, z powodu bliskości Ladysmithu, musieli wciąż mieć środek swych obronnych pozycyi za rzeką. Generał angielski, nie mając sił do rzucenia się na oba skrzydła, rzucił się na jedno, zachodnie, prawe, i dokonał tego w punkcie istotnie bardzo odległym od środka, bo pomiędzy ujściami rzeczki Venter Spruit i Małej Tugeli do Wielkiej. Linia pochodu, rozwijająca się z przejścia, odległą była o jakie 5—6 mil geograf. od Colensa na zachód.

Pomijając to, że podobne napady dla zupełnej skuteczności teoretycznej wymagają działania z dwu stron, rzucenie jakich 20,000 ludzi z działami od strony gór Smoczych na terytoryum oddzielające Ladysmith od Tugeli — miało za sobą widoki powodzenia, wspierane względną szczupłością sił Boerów, ich niezasobnością w artyleryę i długością samej linii działania. Według wszelkich przewidywań, jeżeli nie wolna zupełnie droga, jeżeli nie zaskoczenie znienacka nieprzygotowanych lub słabych, to przygniecenie ich przewagą liczebną i przez to spędzenie z linii pochodu — leżały w prawowitym wobec teoretycznego rozsądku obrębie nadziei przez Bullera żywionych. Ale teorya tutaj przedewszystkiem dla wodza angielskiego okazała się „szarą," a złote drzewo życia, tj. dar patrzenia żywem okiem w żywe stosunki — zmartwiałym. Wszystko obliczył, tylko nie obliczył nierówności gruntu, gór i przepaści i stromych pochyłości; wszystko pod kredkę wziął, tylko nie żywego człowieka, nie roztropność, czujność i energię Boerów. Umieli oni przewidzieć napad, umieli z zadziwiającą bystrością talentu wojskowego, czy też instynktu zachowawczego, pozycyę o jakie siedem mil geograficznych od Colenso oddaloną tak obwarować i osadzić, że się o nią wysiłki angielskie rozbiły, a wyższość materyalna liczby przed wyższością moralną myśli ukorzyła.

Ta ich strategiczna przezorność, która taką nieprzyjacielowi wyprawiła niespodziankę, większy daje im tytuł do zadowolenia i sławy, niż samo niepowodzenie Anglików, ze wstydem po raz drugi zmuszonych rejterować na południowy brzeg Tugeli. Żołnierz angielski, rzucony na skały i w rozpadliny skaliste, może nawet więcej okazał wewnętrznej, swoistej wartości od Boera, przed którym ustąpić musiał; ale przeciw temu, co z rozumu i woli boerskiej w całomiesięcznej przerwie wojennej wyszło, aby znienacka zaskoczyć wiarę angielską w powodzenie, Anglicy nie zdołają wyprowadzić nic, coby zasługę przeciwnika zmniejszyło: jest ona bezwarunkową, bezwzględną, doskonałą. To zajęcie Spionskopu, przez samą naturę obwarowanego, to przeniesienie zawczasu środka pozycyi obronnej na daleko, o jakie pół stopnia geograficznego wysunięte skrzydło, całe to przygotowanie się do boju, dokonane w warunkach zupełnego utajenia się przed wrogiem — jest czynem świetnym, nietylko na dziś, ale i na jutro, czynem krzepiącym wiarę w umysłowe siły ludu, równie potrzebne do walki jak ludzie, oręże i pociski.

Dotychczas nie ogłosili jeszcze Anglicy porządnego sprawozdania o całej nieszczęśliwej dla siebie wyprawie; z krótkich biuletynów bojowych, rozmyślnie obcinanych, przykrawanych, zszywanych, poważnego wyobrażenia wyrobić sobie niepodobna. Ogólnie, bez wielkiego błędu można wypadki ująć w taki zarys: D. 11 z. m. Anglik Dundonald zajął Springfield na południe jeszcze od Tugeli, posunął się na północ, przeszedł na drugi brzeg. W pięć dni później stały tam już brygada Littletona i dywizya Warrena, rozciągnięte na owej linii pomiędzy dwoma ujściami. Na krańcu tej linii leży Spionskop w pobliżu rzeki; na północy, dalej ku wschodowi, Acton Homes, a z niego droga od zachodu do Ladysmith, odległa o jakie 6 mil geogr. Po drobnych utarczkach, uporczywych, zaciętych, d. 23 z. m. Anglicy z wielkiem męztwem natarli na Spionskop, którego większą siłą ani obejść, ani też za sobą zostawić nie mogli, chociaż posunęli się już

byli do owego Acton Homes. Boerowie w nocy ustąpili, d. 24 Anglicy byli panami płaskiego szczytu, na którym z powodu samego braku wody i odsłonionego zupełnie położenia długo trzymać się nie mogli. Przez cały dzień 24 Boerowie z sąsiednich wzgórz prażyli ich ogniem, dżgali ustawicznymi napadami. Przez dwa dni następne działa boerskie pełniły swój obowiązek sumiennie — aż wreszcie odosobnieni, znieruchomieni, martwo przykuci do miejsca — nad ranem d. 27 z. m. opuścili Spionskop. Było to hasło dla całej armii angielskiej do odwrotu za Tugelę. Dziesięciodniowa wycieczka za rzekę — krwawe zostawiwszy ślady — zakończyła się nową klęską. Ladysmith powinienby już nareszcie wpaść w moc Boerów. W Londynie zaczynają już wzdychać do pokoju. Parlament d. 30 z. m. nie ułatwi rządowi utrzymania się u władzy.

Tydzień polityczny. Nowy gabinet przedlitawski Koerbera ogłosił w *Wiener Ztng* swój programat. Składa się nań polityka pojednania narodowości, przyspieszenie pulsu w administracyi, bezstronność w jej funkcyach, dbałość o rozwój ekonomiczno-handlowy, wreszcie wyrzeczenie się pośrednie § 14-go. Narady nad pojednaniem Czechów z Niemcami przedstawiciele obu tych narodów, z pobudki nowego rządu rozpocząć mają w d. 5 lub 6 b. m. Niemcy *germanissimi* obstają przy programie z Zielonych Świątek r. z.: niewielką też jest wiara w powodzenie. *Czas* nazywa dr. Piętaka, ministra Galicyi, „piątem kołem u wozu.“ Dzienniki austryackie pod przewodem *Deutsche Ztg* urządzają nową nagankę; żądają „odpolszczenia“ władz centralnych Przedlitawii: szefami sekcyi w ministeryach powinni być tylko Niemcy rodowici, a tu gdzie tkniesz, wszędzie Polak. *Czas* wykazuje, że procent urzędników Polaków w ministeryach nie przenosi 10 (rolnictwo), najniższy zaledwie daje 2,3; w obronie krajowej niema ani jednego Polaka.

Pesti Hirlap donosi, iż na niedawnym obiedzie rodzinnym w Burgu Franciszek Józef jako następcę swego na tronie wymienił 13-letniego Karola Franciszka Józefa, syna arcyks. Ottona.

Z Wiednia policya wydaliła dwóch podżegaczy niemieckich, szerzących ruch berliński — „Precz z Rzymem.“

Mowa tronowa angielska, d. 30 z. m., ubolewa nad wojną w Afryce i ciężkiemi stratami w wojnie, żądając przytem nowych nakładów na dalszą walkę. Kolonie angielskie dostały podziękowanie za patryotyczną pomoc w przysłanych milicyach. Opozycya liberalna przygotowała naganę dla rządu; ma ją wnieść Fizmaurice— jakaś młoda latorośl, strzelająca w górę.

Projekt pomnożenia floty niemieckiej dostał się już na sejm. Nakład ma rokrocznie wzrastać: w r. 1901 — 169 mil., w 1916 — 323 mil. m. Suma ciężarów 4 miliardy 936½ mil. m.; z tego 4 miliardy 167¼ mil. pokryją podatki, 769 milionów — pożyczka.

Francya po Dreyfusie ma ojca Picarda. Jest to przewodniczący niedozwolonej kongregacyi Assumpcyonistów w Paryżu. Sąd skazał każdego ze stowarzyszonych na 16 fr. grzywien, aby tylko stwierdzić bezprawność samego istnienia związku. Ojciec Picard stawia się jako ofiara gwałtu, ma za sobą damy i kawalerów arystokracyi. Kardynał Ricard, arcyb., manifestuje swą żałość. Rząd korzysta z porządków jeszcze napoleońskich, aby kardynałowi i księżom protestującym wstrzymać pensye.

Wybory do senatu, odnowionego w $^1/_3$, dały 67 krzeseł republ. umiark., 18 radykalnym, 7 socyalistom, 3 nacyonalistom, 4 monarchistom czystym. Słynny Mercier utrzymał się w Nantes jako kandydat monarchiczno-militarno-odradzający Francyę.

Między Anglią a Francyą wybucha nowy zatarg: o Nowe Hebrydy, które Australczycy chcą dla siebie zagarnąć.

W Stanach Zjedn. mnożą się objawy życzliwości dla Boerów obu rzeczypospolitych afrykańskich. Dzienniki uważają podjęcie pośrednictwa o pokój za nieuniknione.

Prezydent Oranii afryk., Stein, wraz z sekretarzem stanu, Fischerem, przybył do Pretoryi. Przedstawiciel Transwalu w Europie, Leyds, przyjęty przez Bülowa, zaproszony na obiad uroczysty do ks. Hohenlohego.

W Chinach cesarzowa-wdowa — babka, dokonała nareszcie zamachu. Cesarz z tytułu, Kuang-su, sam zrzekł się swej godności na rzecz niejakiego Put-singa, syna księcia Tuanu. Czy nie zrzekł się zarazem i życia? Wielkie prawdopodobieństwo. Cały zamach zaskoczył Anglików nagle.

W Czechach i na Morawach bezrobocie węglowe, które odbija się na przemyśle częściowym zastojem, a na życiu obywatelskiem — niepokojem ognisk domowych.



ŻYCIE SPOŁECZNE.

AKCYA ZBIOROWA.

Własność ziemska w Królestwie Polskiem przechodzi od pewnego czasu dotkliwą klęskę — brak rąk roboczych, tj. podstawy istnienia tej ogromnej dziedziny życia ekonomicznego. Zrozpaczeni rolnicy szukają środków zaradczych, a znachorzy dziennikarscy dali im już nieprzebrane mnóstwo recept i zamawiań. Życie społeczne i ekonomiczne rozwija się szybko i gorączkowo, co oczywiście oddziaływa bardzo gwałtownie i niemal przewrotowo na stosunki rolne w kraju.

Sprawę tę bardzo żywo poruszono niedawno na zebraniu spółki rolnej w Radomiu. Proste podniesienie płacy robotnika (czytamy w sprawozdaniu *Kuryera War.*) nie może skutecznie uregulować stosunku, bo ono nie powstrzyma ani kolonizacyi, ani konkurencyi zakładów przemysłowych i uposażenia w większych miastach, które osiągając z przedsiębiorstw większe zyski, mogą lepiej wynagradzać swoich robotników i zawsze w tem współubieganiu się mają możność prześcignąć rolników. Istniejąca obecnie różnica pomiędzy płacą fabryczną a rolną nie jest tak wielka, aby zagrażała rolnictwu; niefachowy robotnik fabryczny pobiera rocznie około 150 rubli, a wiejski od 120 do 130 rb. Folwarki liczyć mogą na służbę, rekrutującą się z ludności bezrolnej, dążącej do nabycia ziemi, ale niemającej na to środków, aby ją utrzymać przy roli. Folwarki mogą się współubiegać z fabrykami nie podwyższeniem zapłaty w gotowiźnie, ale takiemi dogodnościami w naturze, których fabryki dać nie mogą, i—zapewnieniem możności uczciwego zarobku. Robotnik fabryczny zarobi 150 rb. rocznie, ale płacić musi za mieszkanie i opał, matka jego rodziny

---

2)

Aleksander Świętochowski.

DUCHY.

CZĘŚĆ CZWARTA.

KONIEC ŚWIATA.

WIDOK 2.

Tymczasem orszak przesunął się już blizko namiotu wodza. Cztery szkielety męzkie w długich, czarnych szatach, z twarzami tak wychudłemi, że przez nędzną skórę przebijały się wyraźnie ich czaszki, z pochodniami w rękach otaczały młodą kobietę. Wyniosłą jej postać opływała biała, powłóczysta suknia, piękną głowę objął lekki, zsunięty z czoła kapturek, z pod którego rozsnuwały się swobodnie w bujnych pasmach ciemne włosy. Wyglądała jak anioł smutku, wiodący nieszczęśliwych. Stopiona z niewinnością powaga jaśniała spokojnym blaskiem z jej dużych, głębokich oczu, mówiła z jej świeżych ust, z których wesołe uśmiechy zegnał chłód przedwczesnego cierpienia. Jasna i czysta dusza przeświecała jej ciało, jak poranna zorza niepokalany błękit nieba. Tę młodziuchną a dojrzałą, naiwną a doświadczoną kobietę poprzedzał jakiś majestat, który w spotykających ją budził cześć i nakazywał milczenie płochym myślom. Stanąwszy, wpatrzyła się uważnie w księcia Onto.

Orla.

Czy to pan tu wszystkim rozkazuje?

Ks. Onto.

Kto pani jesteś i czego sobie życzysz?

Orla.

Nazywam się Orla Mirol, jestem córką zmarłego pana tej siedziby nieszczęścia. Ojciec nauczył mnie kochać niedolę ludzką i opiekować się nią.

Ks. Onto.

Czemże ja pani mam pomódz w tem zadaniu?

Orla.

Niczem; przyszłam tylko zapytać, czemu nasz gród opasałeś wojskiem?

Ks. Onto.

Musi on poddać się sam lub będzie zdobyty.

Orla.

Już dawno poddał się i został zdobyty przez zarazę morową. Nie oblegała nas, nie kazała bram otwierać, przekroczyła mury, połowę ludności wymordowała, a połowę trzyma w okowach pod groźbą śmierci. Jeżeli więc chcesz, panie, narąbać ciał ludzkich, to ona cię już uwolniła od tego trudu. Prosimy cię do nas, obejrz pobojowisko, a przekonasz się, że ono tak gęsto zasłane trupami, jak po największem twojem zwycięztwie.

Ks. Onto.

Owszem, zobaczymy, ale jeśli ludność tak licznie wymarła, to nie skrzywdzimy jej, zabrawszy zbywającą część żywności dla naszego wojska.

Orla.

I w tem cię uprzedził, dostojny panie, inny a równie sławny zdobywca—głód. Zapewnie podczas pochodu spotykałeś ślady jego zwycięztw, tu możesz przypatrzyć się najwymowniejszym. Przez całe lato nie spadła na nasze pola ani jedna kropla deszczu, a nawet ty nie raczyłeś ich zrosić wylaną w bitwach krwią. Susza tak zniszczyła zasiewy, jak ty ludzi. Z odległych okolic zbiegły się do nas gromady głodnych, dla których nie starczył chleb po

i dzieci do lat 12 nie znajdują w fabryce zajęcia, na jedzenie wydają więcej i drożej płacą za nie, co wszystko nie wynosi więcej nad 120—130 rb. na wsi. Wartość tego ostatniego wynagrodzenia folwark i łatwo mogą powiększyć przez wygodne i zdrowe mieszkania dla służby, dobre utrzymanie krów ordynaryuszów, pozwolenie, aby wszystkie odpadki ordynaryi zużywane były na wykarmianie nierogacizny i drobiu, stanowiących dorobek służącego, naukę drobnego przemysłu, jako to: koszykarstwa, tkactwa i in., któreby zapewniały możność zarobkowania w zimie kobietom i niedorosłym. Wszystkie te dogodności zrównoważyłyby wpływ większych pozornie zarobków fabrycznych. Bardzo byłoby pożądane dodatkowe wynagrodzenie za przesłużenie pewnej liczby lat. O emeryturze nie może być mowy w warunkach dzisiejszych. Służący folwarczny marzy o własnym zagonie; potrzeba, aby po pewnym szeregu lat uczciwej pracy mógł urzeczywistnić swoje pragnienia, a liczba tych lat nie powinna być długa: już jedno sześciolecie powinno zapewniać robotnikowi jakieś korzyści. Tu oprzeć się trzeba o instytucyę, której istnienie byłoby wyższe nad wszelkie wątpliwości, tak aby ciężko zdobyte dorobki nie ulegały żadnej niepewności. Poniekąd pomoc w tej mierze mogą dać: Towarzystwo „Przezorność" i Towarzystwo ogrodniczo-pszczelnicze; wreszcie spółka rolnicza.

Taki jest zarys kompromisu, naszkicowany przez mówcę, p. Antoniego Sobieszczańskiego. Ponieważ jednak są to plany na przyszłość, a trzeba niezależnie od tego myśleć o zaspokojeniu potrzeb bieżących, więc spółka radomska zarządziła środki następujące: Zawiązała stosunki z agenturą w Jarosławiu, celem sprowadzenia robotników galicyjskich. Przedsiębierze starania, aby na przyszłość żołnierze do robót polnych wcześniej byli uwalniani, tudzież aby okres ich pracy w polu był przedłużony. Udziela dokładnych informacyj o wartości maszyn, przeznaczonych do zbierania ziemiopłodów i ułatwia stowarzyszonym możność ich nabycia. Jest to bodaj pierwsza akcya zbiorowa ziemian naszych w tej mierze. Co do środków pogodzenia zjawisk i potrzeb ekonomicznych w dalszej przyszłości, są i tutaj rady, wynikające z jednostronnego oceniania potrzeb. Jeden z krytyków tej recepty, Aleksander ks. Drucki-Lubecki, zaznaczył, że przywiązywanie robotników do ziemi pieniędzmi nie wytrzymuje krytyki, jako oparte na fałszywym rachunku, bo w razie podwyższenia płacy na wsi to samo uczyni fabryka, a nawet łatwiej jej to przyjdzie, niż obywatelowi ziemskiemu, jako posiadającej większe dochody procentowe. Krytyk więc zaleca następującą kokieteryę ekonomiczną: Zaopiekować się szczerze dziećmi robotnika, przyzwyczaić go, aby mógł każdą niezbędną rzecz nabyć w sklepie wiejskim wspólnym, aby w razie potrzeby nie szedł po pieniądze do kapitalisty wioskowego, aby rozsądnie obmyślane pożyczki, zwracane ratami z amortyzacyą, zapewnić mu mogły przyszłość.

To, co ks. Drucki-Lubecki doradza, istnieje już poniekąd w praktyce. Czytamy w pismach, iż właściciel dóbr Krzyżanowice w pow. Iłżeckim, p. Józef Dobiecki, urządził rodzaj kasy emerytalnej na warunkach następujących: Właściciel wnosi corocznie do kasy gminnej na procent składany po 4 rb. dla każdego parobka. Po sześciu latach sumiennej służby w Krzyżanowicach parobek może odebrać swoją sumę, w ten sposób uzbieraną. Wydalony za złą służbę, traci prawo do wkładu, który przechodzi na rzecz innych, stosownie do uznania właściciela.

Owa znamienna dążność do pogodzenia potrzeb najemnika wiejskiego i zarobkodawcy nie da wyników pomyślnych dla obu stron, dopóki ziemianie nie rozwiną zabiegów współzawodnictwa z przemysłem wielkim na gruncie czysto organizacyjnym, tj. dopóki na roli nie stworzą przemysłu przetwórczego i nie wzmocnią go drogą zogniskowania sił, dotychczas rozstrzelonych. W obecnym stanie rzeczy rolnik, borykający się z niedostatkiem lub widmem bankructwa, nie może oczywiście współzawodniczyć z fabryką w podnoszeniu płacy robotnika.

Tymczasem możemy tylko zaznaczyć ten zaczątek akcyi zbiorowej ziemian, który bądź co bądź ma znaczenie w kronice życia naszego.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Wyniki działalności komisyi kolonizacyjnej. — Szlachta, lud i mieszczaństwo — Rozwój żywiołu polskiego w miastach. — Dążność do pracy samodzielnej, jako wynik polityki germanizacyjnej. — Uświadomienie. — Odczyty popularne. — Towarzystwo akcyjne.—Kajetan Buchow ki

Niedawno pisma niemieckie ogłosiły cyfry z działalności komisyi kolonizacyjnej. Są to przeważnie dane, dotyczące bardziej zniemczonej dzielnicy Poznańskiego, obwodu regencyjnego Bydgoskiego (obejmującego część wschodnio-północną i okrąg notecki). W r. 1898 wielka własność niemiecka zmniejszyła się o 3,200 mor. (Niemcy wykupili z rąk polskich 5,128 mor., Polacy z rąk niemieckich 8,328 mor.). W drobnej własności strata Niemców wynosiła 6,748 mor. (Niemcy wykupili 664 mor. Polacy 6,748 mor.). Ogółem strata Niemców w roku sprawozdawczym wynosi 9,264 mor. Z 89 majątków niemieckich i 37 polskich powstało przez parcelacyę 44 niemieckich i 269 polskich. Do rąk niemieckich przeszło z polskich 173 m., z niemieckich w polskie 268. Cyfry powyższe wywołały na szpaltach *Deutsche Ztg.* takie uwagi: „Już w r. 1896 stwierdzono, że niemiecka własność ziemska w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich zmniejsza się stale. Cyfry świadczą, że nie było to zjawisko przypadkowe, przemijające. Pomimo działalności komisyi kolonizacyjnej, niemczyzna w walce o ziemię jest stroną słabszą. Fakty te każą nam tylko wrócić do żądania, ażeby wreszcie postanowiono ograniczyć Polaków w możności nabywania ziemi. Cyfry powinny wywołać poczucie odpowiedzialności u naszych mężów stanu." Wyniki są takie, że się poniekąd wzmocnił na roli żywioł polski. Ową instytucyę wydziedziczającą sami Niemcy nazwali sarkastycznie komisyą polonizacyjną z tego względu, że w pierwszych latach działalności nabywała ona przeważnie dobra właścicieli ziemskich zbankrutowanych lub stojących na skraju bankructwa. Tym sposobem dobrze płacąc szlachcie zrujnowa-

---

umarłych. Jak ci czterej moi towarzysze, tak są ubaczeni wszyscy. Codziennie rozdzielam między nich resztki żywności, któremi zaledwie nasyciłoby się stado gołębi, więc proszą zarazy, ażeby im skróciła męczarnie życia. Jeżeli chcesz, panie, wyświadczyć im to dobrodziejstwo, którego ona odmawia i wziąć po nich spadek chleba, w takim razie twoi żołnierze mogą mieć dla swych mieczów trochę zajęcia.

Ks. Onto.

Czy pani nas uważasz za opryszków?

Orla.

Uważam panów za wielkich wodzów i walecznych żołnierzy, za bohaterów, którzy zabijają ludzi i grabią ich mienie, jak głód i zaraza.

Ks. Onto.

Wyzyskujesz pani nadmiernie przywilej kobiety! Nie zabijemy nikogo i nie weźmiemy niczego, ani jeden żołnierz do waszego grodu nie wejdzie, ale wejdą i od dziś panować tam będą: nasz król, jako władca, i Arcykapłan, jako namiestnik Zwiastuna.

Orla.

Duch Zwiastuna, umęczonego za miłość dla ludzi Arjosa niech przybędzie do nas, otworzymy mu wszystkie nasze świątynie. Czcimy w nich boga, który ma dwie twarze: jedna wyobraża sprawiedliwość, a druga miłosierdzie. W tej drugiej wasz Zwiastun rozpozna podobiznę siebie. On nas ukocha, bo ukochał wszystkich. A może ja się mylę? Może jego nauka doszła w fałszu do nas odszczepieńców? Ty wiesz lepiej, jako wyznawca tego mistrza i szerzyciel jego ewangelii, co on czynić zalecał.

Ks. Onto.

Wkrótce przybędą tu kapłani, którzy wam wyłożą zasady naszej wiary.

Orla.

O, jeżeli, panie, wasza wiara jest taką, o jakiej słyszałam, nie przysyłajcie kapłanów i nie rozszerzajcie jej między nami Bo wtedy każdy zdumiony i zgorszony zapyta was: co znaczą wasze wyprawy, wojny, rzezie, zabory w imieniu i pod godłem męczennika, który w sercach ludzkich szczepił tylko miłość bliźniego? Wtedy najsłabszy ze słabych i najnędzniejszy z nędznych powie do ciebie: mości książę, jeżeli jesteś czcicielem Arjosa, jakiem prawem trzymasz miecz w ręce?

Ks. Onto.

Odpowiem ciekawym. Tymczasem wróć pani do domu i tam czekaj moich postanowień.

Orla.

Życzę panu, ażebyś nie tak łatwo usunął Zwiastuna z przed twego sumienia, jak mnie z przed twoich oczu.

Odeszła ze swoim milczącym orszakiem. Onto przez chwilę patrzył za nią wzburzony, wreszcie rzucił miecz i zerwał z głowy przyłbicę.

Ks. Onto.

Lagorze, obejrz moją twarz, czy nie ma na niej ran? Nigdy ta żelazna okrywa nie była tak potrzebną przeciw cięciom nieprzyjacielskiego miecza, jak przeciw cięciom języka tej okrutnej kobiety. Kilka razy czułem, że mi ostremi słowami przebiła blachę. Co to się dzieje! Ja piorun wojny w ręku boga pokoju, ja sztylet nienawiści za pasem boga miłości! Ha, ha, ha! Djabeł może się oblizywać, patrząc na taką duszę.

Hr. Lagor.

Ostatecznie, mości książę, złożyłeś broń przed tą czarodziejką. Trzeba przyznać: wspaniale piękna! Arjos Onto nie bóg, lecz człowiek, więc uległ Orli. Ci głodomorzy wiedzieli, kogo wysłać do groźnego wodza. Niema ratunku, musimy się poddać — pierwszy raz w tej wojnie Król tę porażkę zrozumie, przebaczy, pochwali...

nej, dawała jej możność wzmocnienia się materyalnego. Oczywiście tych panów, czerpiących pomoc z kieszeni hakatystycznej, nie można uważać za dzielnych obywateli kraju. Doszli oni do ruiny przeważnie skutkiem niedołęztwa, niedbalstwa, karciarstwa, hulanek i lekkomyślności. To też i pieniędzy, wziętych ze sprzedaży majątków niemieckiej komisyi kolonizacyjnej nie użyli oni na dobro kraju, lecz na zaspokojenie swych egoistycznych potrzeb i nałogów. Właściwie tedy naprawa interesów ziemian wysadzonych nie posiada w ścisłem znaczeniu doniosłości społecznej, jeżeli weźmiemy ogół szlachty, wyzutej tą drogą z ziemi. Pewien atoli, dość znaczny procent ziemian wybrnął tym sposobem rzeczywiście z ciężkiego położenia. Tacy, przerzuciwszy się na inne pola działalności, mogli poniekąd ożywić je, czyli przyczynić się potroszę do ekonomicznego wzmocnienia kraju.

Ponieważ, jak rzekliśmy pierwotnie, komisya nabywała ziemię tylko od Polaków, Niemcom zaś pozwalała bankrutować, ci więc, nie mając ratunku, rozparcelowali swe majątki śród włościan polskich, gdyż nabywców Niemców, zwłaszcza na parcele mniejsze, znaleźć nie mogli. Dopiero w ostatnich latach komisya kolonizacyjna, spostrzegłszy taki niepożądany dla siebie stan rzeczy, zmieniła system: przestała nabywać majątki polskie, a natomiast zwróciła się do zrujnowanych niemieckich, które następnie usiłuje rozparcelowywać śród kolonistów Niemców, przybyszów z dalszych prowincyj. System ten jest oczywiście gorszym dla nas. Jeżeli komisya pójdzie tą drogą dalej, to po latach kilku usilnych zabiegów wykupi wszystkie dobra zbankrutowane lub zachwiane od Niemców, a potem, rozparcelowawszy je, weźmie się znowu do polskich, których nie zbraknie, gdyż zawsze znajdzie się znaczny procent lekkomyślnych i wyzutych z wszelkiego poczucia społeczno-narodowego. Gdyby nie brakło nam energii i tego właśnie poczucia, to można byłoby wzmocnić organizacyę przeciwdziałającą: mianowicie rozparcelować zachwiane dobra i sprzedawać je w działkach ludowi polskiemu za pomocą Banku ziemskiego.

Instytucya ta, istniejąca dopiero od roku 1889, jak wiadomo, nie jest zbyt zasobna; trudno więc marzyć, ażeby mogła się zmierzyć z komisyą kolonizacyjną, popieraną setkami tysięcy. Pomimo wszakże stałych środków Bank ten do końca r. 1898 zdołał rozkolonizować 16,699 hektarów, czyli około 65,000 morgów magdeburskich. Gdyby społeczeństwo nasze odznaczało się większą solidarnością, uświadomieniem swych potrzeb i poczuciem samoobrony, to niewątpliwie instytucya ta mogłaby stanąć pod względem zasobności na równi z komisyą kolonizacyjną. Ale my, niestety, tych wszystkich cech nie posiadamy, natomiast mamy ambicye i ambicyjki, wielkie poczucie karyery i dążność do wkładania na własne skronie laurów z mogił ludzi wielkich. Możemy pozwolić sobie na wznoszenie prywatnych pomników wieszczom i na publiczne ich odsłonięcie. Możemy przy tej sposobności ściągać na bankiety przedstawicieli inteligencyi z różnych najdalszych stron, ale nie możemy zasilać tak ważnej instytucyi, jak Bank ziemski — jedyną warownię, zabezpieczającą nas od ataku armii kolonizacyjnej.

Jedynym żołnierzem, dzielnie odpierającym ten atak, może być lud polski na roli, który nie da się skusić na najkorzystniejsze propozycye Niemców, nie odprzeda im swojej ziemi i nie pójdzie na obczyznę jako najmita.

Chłopu naszemu oddaje także sprawiedliwość *Dziennik Poznański* w swoim przeglądzie ostatecznej doby naszego życia: „Robiąc bilans obecnego stanu rzeczy w Poznańskiem, widzimy, jak piastowska dzielnica przybiera zwolna, ale coraz więcej charakter germański, protestancki. Pozostaje nam tylko ta pociecha, że chłop, odepchnięty i wyrugowany z ziemi, podejmuje tam chętniej walkę ekonomiczną. Bardzo mała jest liczba włościan polskich, którzy swe osady sprzedali kolonizacyi, a chęć nabywania ziemi przeszła już w prawdziwą żądzę. Chłop nietylko z przyjemnością wykupuje niemieckich sąsiadów, nietylko rozbiera chętnie osady, podawane na sprzedaż przez polskie instytucye parcelacyjne, ale już i to się zdarza, że zbogaceni włościanie kupują większe majątki. Wówczas, gdy większa własność cofa się u nas gwałtownie, włościańska mnoży się, rozszerza w sposób dla hakatyzma bardzo niemiły. Widzi on, że i stamilionowe fundusze nie przyspieszają dostatecznie germanizacyi ziemi."

Wogóle lud poznański przychodzi do coraz jaśniejszego uświadomienia, umie ocenić pracę zrzeszoną, dzięki czemu kółka włościańskie mają powodzenie. W miastach żywioł polski również się wzmacnia. Z tego powodu *Dziennik Poznański* pisze: „Niemcy widzą w tem najgorszą stronę działania komisyi kolonizacyjnej, że żywioły polskie, wyparte ze wsi, gromadzą się w miastach i miasta polonizują. Wiele jest w tem przesady umyślnej, ale to pewno, że stosunkowo wiele miasteczek u nas więcej dziś ma polskości, niż dawniej. Sam Poznań nawet nigdy tyle nie był polskim, co obecnie. Tak więc wszędzie, mimo bojkotu hakatystycznego, dźwiga się żywioł polski po miastach, co naturalnie hakatystów porusza do coraz nowych usiłowań popierania uciśnionej niemczyzny. Upadku w handlu i przemyśle dotąd jeszcze nie widać, owszem, dość powszechnie widziany jest postęp. W porównaniu z pierwszą połową wieku jest on nawet olbrzymi. Fabryk naprzykład u nas nie było wcale, a dziś nietylko fabryk, ale i większych warsztatów przemysłowych rozwinęło się dużo. Wogóle powiedzieć można, że i na tej drodze budzi się rozwój. Najwymowniejszym tego dowodem jest rozmnożenie się i wzrost spółek pożyczkowych, zarobkowych i banków, których związek przedstawia siłę ekonomiczną wielu milionów." Lud tedy stał się już dziś tą warstwą społeczeństwa, która po moralnem i materyalnem bankructwie znacznej liczby szlachty miejscowej, wstępuje dzielnie do walki z germanizacyą. Nawet *Dziennik Poznański*, ten organ, który przez długi czas widział zbawienie w szlachcie zrujnowanej, zgranej przy zielonym stoliku i szukającej karyery na wysokich urzędach, dziś zmienił swe zdanie i zaczyna lud, przedtem pogardzany, obdarzać łaskawem uznaniem.

Drugim żywiołem dość silnym jest mieszczaństwo, które w ostatnich latach ogromnie się rozwinęło, dzięki utrudnieniom, stawianym przez hakatyzm na drodze urzędniczej. Jest to także wielka omyłka szerzycieli niemczyzny. Dawniej młodzież polska tłumnie się garnęła do urzędów, marzyła tylko o biurach, o odznaczeniach itd. Oczywiście był to wyborny materyał do ulepienia typowych bioralistów, obdarzonych służalstwem i wielce wrażliwą skórą. Powoli zaczęto zamykać podwoje urzędów, strącać różnych dygnitarzy, a nawet pionków urzędniczych, na niższe szczeble, wreszcie zapowiedziano przeniesienie urzędników pocztowych z kraju rodzinnego do dalszych okolic, czysto niemieckich. Tego rodzaju polityka tak świetnie poskutkowała, że śród młodzieży polskiej słabnie coraz bardziej dążność do karyery urzędniczej, a natomiast budzi się zapał do pracy samodzielnej, niezależnej, fachowej. Ożywiły się tedy pola handlu i przemysłu, na których rozpoczęli pracę ludzie inteligentni. Teraz należy tylko ten prąd popierać, ułatwiać

Ks. Onto.

Powiesz mu tak: rzeczywiście Onto został w końcu zwyciężony przez jedną bezbronną kobietę. Ale jeżeli jesteś, najjaśniejszy panie, tyle mądrym, ile na twojom stanowisku być powinieneś, to wiesz, że szydzić ma prawo tylko sam Bóg, który zna wszechprawdę i posiada klucze do wszystkich tajemnic istnienia. Gdy on patrzy na naszą niewiadomość, którą uważamy za wiedzę, i na naszą niemoc, którą uważamy za siłę, może się śmiać. Ale ludziom to nie przystoi. Ja, Lagor, byłem głęboko przekonany o moim rozumie; w chwili wszakże, gdy do Arjosa Onta przyszła Orla Mirol, opiekunka umierających z zarazy i głodu, kiedy przed nas, skrwawionych mordem i pokalanych rabunkiem, wywołała cień Zwiastuna, roześmiałem się. Odtąd sądzę, że mogę być nadal walecznym rycerzem i wiernym poddanym, ale rozumem służyć waszej królewskiej mości nie mogę.

Hr. Lagor.

Jeżeli książę zaszczycasz mnie istotnie swoją przyjaźnią, to zechciej mi wyjaśnić, dlaczego ja mam to powiedzieć królowi?

Ks. Onto.

Mówię niedość jasno... Kiedyś rozwiążesz tę zagadkę, która dziś stanęła między mną a tobą. Tylko bądź cierpliwym i gdy cię coś zadziwi — nie śmiej się. Gdybyś nawet zobaczył, że Onto muruje piece z cegiełek masła, wyrabia podkowy dla komarów lub gra na cytrze z nici pajęczych — nie śmiej się. Daję ci taką radę dlatego, że cię kocham i nie chciałbym, ażeby Bóg, słysząc twoje szyderstwa, nie rzekł do całego stworzenia: biedny Lagor, on sądzi, że ja, jak jego monarcha, potrzebuję błazna.

Hr. Lagor.

Nie obrażasz, ale przestraszasz mnie książę tą niepojętą przemianą.

Ks. Onto.

Gdybyś był dawniej zajrzał w moją duszę, dostrzegłbyś w niej jajeczka, gąsienice, poczwarki i nie dziwiłbyś się, że teraz wylatują mi z ust ćmy nocne. Wylęgnie się ich jeszcze więcej, bo czuję, że mi po całem wnętrzu łazi mnóstwo liszek. Chciałem je zabić atakiem na ten gród — nie udało się.

Hr. Lagor.

Boże, ratuj go!

Ks. Onto.

Mój drogi, czybyś ty umiał powiedzieć o tej kobiecie coś takiego, co byłoby jej godnem?

Hr. Lagor.

Przyznałem — że piękna.

Ks. Onto.

Przyjrzyj się temu wyrazowi, jaki on wytarty, zbrukany, cuchnący! Pomyśl tylko, ilu rozpustników zawijało weń pieniądze, płacone ladacznicom! Ilu wiarołomnych mężów zasłaniało nim oczy oszukiwanym żonom, ażeby nie dostrzegły ich obłudy! Ilu uwodzicieli używało go za przynętę dla swych ofiar! Ale po co ja żądam od ciebie czystego wyrazu, kiedy wszystkie są brudne: cnota, niewinność, dobroć... każdy splamiony, wstrętny, każdy nie dla niej. Co ja mówię! Skądże wiem, że ona jest szlachetnym kruszcem, a nie zwyczajną rudą! Ach, jak okropnie jestem znużony!

Hr. Lagor.

Widać to w oczach księcia.

Ks. Onto.

Widać w oczach, mówisz... Więc pójdę spać. Dobranoc ci, hrabio! Olej w głowie przez dzień się wypalił, sen ją znowu nim napełni.

---

młodym fachowcom kredyt, zawiązywanie spółek, towarzystw itd.

Pewna grupa inteligencyi, dbałej o umysły ludu, urządziła szereg wykładów przystępnych z dziedziny historyi i literatury, wychowania, biologii, fizyologii, chemii i wielu innych. Dotąd jednak, wykłady te nie zdołały podniecić uwagi ogółu i zachęcić go do licznego uczęszczania. Sala pusta smutne robi wrażenie. Trochę agitacyi, trochę zachęty możeby naprawiły złe.

Z kroniki rozwoju przemysłu polskiego zaznaczyć możemy fakt następujący: Wielka fabryka narzędzi rolniczych, istniejąca od dawna pod firmą S. Cegielski, przeszła na własność Towarzystwa akcyjnego z kapitałem zakładowym 1,200,000 marek. Do rady nadzorczej weszli poważni kapitaliści z Księstwa Poznańskiego: poseł st. Cegielski (dotychczasowy właściciel fabryki), dyrektor banku kasztelan Kościelski z Miłosławia, dyrektor fabryki Leon Czarliński z Inowrocławia, dyrektor fabryki Walżyk z Kruszwicy, adw. Jan Głębicki, ks. Z. Czartoryski. Jak widzimy, na gruncie przemysłu kapitalistycznego zsolidaryzowała się arystokracya z plutokracyą.

W Pomorzankach zmarł sędziwy Kajetan Buchowski, bardzo czynny obywatel na polu politycznem, społecznem i ekonomicznem. Był założycielem i członkiem Towarzystwa pomocy naukowej, kółek rolniczych, spółek pożyczkowych, towarzystw przemysłowych itd. Zmarł w 87 roku życia. *et.*

KARTKI KRAKOWSKIE.

21 stycznia.

Reforma statutu miasta Krakowa. — Stańczycy i demokraci. — Nacisk galeryi. — Groźby robotników. — Tow. szkoły ludowej. — Nowy rok w uniwersytecie ludowym. — Zmiany w prasie krakowskiej. — Z teatru: nowości z ostatnich tygodni. — „Kordyan.“ — „Oblubienica Morza.“ — Pożegnanie p. Siemaszkowej. — Z uniwersytetu.

Stała się w krakowskiej radzie miejskiej rzecz niesłychana, nietylko niesprawiedliwa, lecz nietaktowna i w najwyższym stopniu niepolityczna. Od dawna wyraźnie się w naszej radzie zaznaczają dwa stronnictwa: konserwatyści i demokraci. Pierwsi, zorganizowani w zwarte koło radzieckie, konserwatywne, opierają się o naszych słynnych stańczyków, których są odłamem. Demokraci są słabo zorganizowani i przy żadnem głosowaniu wszystkich swych zwolenników pewni być nie mogą, gdyż wobec różnorodności poglądów i odcieni politycznych tylko w wyjątkowych wypadkach spodziewać się można głosowania jednolitego. Próbą siły był przed kilku miesiącami wybór prezydenta, przy którym hr. Andrzej Potocki, magnat z pod Baranów i właściciel Krzeszowic, uległ w walce przeciw skromnemu księgarzowi, p. Friedleinowi. Ten miał wówczas za sobą wprawdzie już sześć lat prezydentury, ale demokraci odnieśli niewątpliwe zwycięztwo.

Obecnie wystąpiła inna, ważniejsza jeszcze kwestya, jakkolwiek i wybór prezydenta uważać trzeba za starcie zasad, nie osób. Jak pisałem na tem miejscu przed kilku miesiącami, na porządku dziennym stała od roku reforma statutu miasta Krakowa, a w niej nadanie prawa wyborczego tym obywatelom miasta, którym dotąd nie przysługiwało. Ludność miasta brała w tej sprawie najżywszy udział. Z jednej strony robotnicy w całym szeregu zgromadzeń i pochodów domagali się powszechnego i równego prawa wyborczego, wiedząc naturalnie, że nie będzie im udzielone inaczej, jak w formie kuryi głosowania powszechnego. Z drugiej mieszczaństwo i cząstka robotników, stanowiący stronnictwo katolicko-narodowe, zażądali powiększenia liczby mandatów do 100, wśród których 20 należałoby do kuryi głosowania powszechnego. Urzeczywistnienie tych żądań, do których ze strony robotników przyłączyły się całkiem nie dwuznaczne groźby, wzięli na siebie demokraci. Wniosek posła Rottera, który postawił minimalne żądanie 10 mandatów, aby choć to minimum osiągnąć, poprzedzony był zwycięztwem zasady. Mianowicie rada znaczną większością postanowiła, iż każdy obywatel pełnoletni, od roku w gminie zamieszkały, otrzymuje prawo głosu. Burza, wywołana tą uchwałą w obozie konserwatywnym, zamieniła się przez święta Bożego Narodzenia w systematyczne obrabianie radców niepewnych, którzy pod wpływem argumentów doraźnych za wnioskiem Rottera głosować mogli. Po świętach Andrzej hr. Potocki w imieniu swego stronnictwa wniósł protest przeciw uchwale „demagogów,“ motywując odmowę prawa głosu obawą przed dojściem do przewagi żywiołów obcokrajowych. O Żydów nie chodziło, bo ci, jako kupcy i rękodzielnicy, i tak mają mandaty, lecz o jakichś urojonych Niemców, czy Włochów z XVII stulecia, czy nie mieszkających w Krakowie Rusinów. Pomimo całej płonności uzasadnienia, argumenty poskutkowały. Doprowadzono do powtórnego głosowania, w którem upadł wniosek Rottera, powszechne prawo głosu cofnięto. Na ostatniem posiedzeniu przyszło z tego powodu do gwałtownej deklaracyi, którą przeciw przywilejom warstwy rządzącej wygłosił radca dr. Seinfeld. Przytaczam niektóre ustępy z tej deklaracyi:

„Zważywszy, że Kraków ma święty obowiązek wobec całego narodu do uczynienia rozumnego i szlachetnego kroku w celu urzeczywistnienia zasady sprawiedliwości politycznej, społecznej i narodowej przez przyznanie 13,000 uczciwych i pożytecznych obywateli, bodaj drobnej cząstki wpływu na wspólne wszystkim sprawy naszej gminy i że te tysiące pracowitych ojców rodzin robotniczych mają wobec rozumu i sprawiedliwości większe prawo do zasiadania w tej świetnej radzie, niż magnaci rolni, których do tej świetnej rady pcha tylko samolubna duma i dawna magnacka ambicya dostojeństw i godności; zważywszy wreszcie, że żaden naród nie podniósł się niesprawiedliwością wobec sąsiadów i że krzywda wyrządzona Rusinom w kraju przez uprzywilejowaną klasę sieje tylko nienawiść do nas, osłabia węzły braterstwa i nie może być punktem wyjścia odrodzenia narodu: Uważam zasadę powszechnego głosowania i dopuszczenia ludu do udziału w rządach gminą, krajem i państwom za konieczną, nieodzowną i pożyteczną nietylko pod względem politycznym i społecznym, ale i narodowym, zwłaszcza, że przez naród rozumiem dziś ogół jego obywateli, nie znikomo małą warstwę, opancerzoną niesprawiedliwymi i niezasłużonymi przywilejami majątku lub urodzenia.“

Można sobie wyobrazić, że galerya brała czynny udział w tych obradach, oklaskując mówców sympatycznych, sykając, grożąc, nawet rzucając obelgi na tych, którzy przemawiali przeciw prawom ludu. Nic nie pomaga, że niektórzy radcowie bronią porządków dotychczasowych, twierdząc, iż nie możnaby z równą swobodą, jak dawniej przemawiać na posiedzeniach rady. Ta salonowa swoboda jest już faktycznie zamącona przez obecność słuchaczów z galeryi, ich uwagi podczas mów, a zwłaszcza potem w prasie.

Ostatecznym wynikiem reformy są 4 mandaty dla najdrobniejszych rękodzielników, którzy też może na razie się tem

WIDOK 3.

Obaj weszli do swych namiotów. Noc już znacznie ostudziła ziemię, którą gwiazdy opryskały rzęsiście chłodnymi promieniami bladego światła. Obóz zamilkł. Ludzie i zwierzęta zapadli w sen głęboki, jaki ich obejmuje tylko w znużeniu i bezpieczeństwie. Czasem koń parsknął, czasem człowiek mocniej westchnął, ale były to drobne zakłócenia ciszy, niby pluski ryb w drzemiącem jeziorze. Około północy Onto wyszedł z namiotu bez zbroi, bez oznak swej godności, w kapeluszu nasuniętym na oczy i zwrócił się w głąb obozu. Mijając wóz, naładowany posągami, przy którym siedział śpiący wartownik, zatrzymał się.

Ks. Onto.

No, bogowie, nikt was nie strzeże, uciekajcie! Obudźcie się wszechmocni jeńcy! Czyż wam nie wstyd, że posiadając bezmierną siłę, pozwoliliście kilku słabym ludziom zdjąć się z ołtarzów i zwalić na wóz, jak kloce? Wszakże mogliście drobnym ruchem waszej woli zdruzgotać świętokradców. Milczą, jak zawsze..:

Zdjął z wozu jeden posąg i postawił na ziemi

Czy w tobie jeszcze przebywa bóg, czy już się wyniósł? Jeżeli jest w twojem kamiennem wnętrzu, daj mi jakikolwiek znak, przemów lub tylko drgnij, ażebym uwierzył, że w tobie jest bodaj tyle życia, co w krzewie koralu. Nic i nic... A może ty duchu, ukryty w tym marmurze, jesteś zbyt dumnym, ażeby rozmawiać ze śmiertelnikiem? Więc mnie ukarz, zmiażdżyj swoją potęgą, abyś tylko okazał, że jesteś. Nie chcesz? Za mało cię obraziłem?

Uderzył posąg kamieniem i odtrącił mu głowę.

Znieważyłem cię sromotnie.. Jeszcze za mało? Zbezczeszczę bardziej! Twoją głowę daruję szlifierzowi do ostrzenia nożów, z twojego kadłuba każę zrobić żłób dla osłów. Może wtedy przemówisz, upomnisz się o swoją obrazę, ukarzesz mnie za śmiałość... Ach, ty zapewne jesteś bałwanem pustym, w tobie duch nie przebywa, lecz utail się w innym. Odezwijże się statuo bogiem nadziana! Wszystkie milczą... O, wy, twory snów i bajek, postacie wiekuistych złudzeń naiwnej wiary! Ileż do was zaniesiono próśb, skarg i dziękczynień, które nawet nie odbiły się echem od waszych kamiennych uszu! Wy macie być stworzycielami, sędziami i rządcami świata, do was przychodzą umysły znękane ciemnością, do was zwracają się po balsam serca rozdarte cierpieniem, do was płyną wielką rzeką wszelkie żale i błagania dusz płaczących — ha, ha, ha! Jeśli Bóg jest i czasem raczy spojrzeć na te martwe bryły, które mają być jego ciałom, dziwi się zapewne, skąd ród człowieczy, będący jego tworem, wziął dla wymyślenia ich tyle głupoty. A jeśli go niema w tych cielcach kamiennych, to musi być gdzieindziej. Gdzie? Może obrał sobie mieszkanie w najlepszych ludziach? Może przebywa w niej? Tak mówiła, jak gdyby była jego córką. Biedna, osierocona duszo moja, wszędzie szukasz swojego ojca i nigdzie go nie znajdujesz!..

I szedł dalej między rzędami ludzi, koni, wozów, śród szumu chrapań i oddechów.

(C. d. n.).



zadowolą. Inaczej przecież robotnicy, których organ poprzysiągł walkę nieubłaganą i którzy już odbyli w ostatni piątek pięć jednoczesnych zgromadzeń protestujących. Udział w pracach gminy stał się dziś nowym celem, jak przed trzema laty zdobycie prawa głosu do rady państwa, które dziś na powszechne prawo wyborcze zamienić się starają.

Towarzystwo szkoły ludowej, którego zarząd główny ma dziś siedzibę w Krakowie, liczy obecnie 12,000 członków i rozwija się pomyślnie. Dotąd jeszcze najogólniej uznaną częścią jego działalności jest budowa szkół tam, gdzie kraj się jeszcze na to nie zdobył. W Białej budynek wprawdzie stoi, to kosztem znacznej sumy 60,000 złr., ale utrzymanie tej ważnej dla Polaków szkoły pochłania ogromne sumy. Ponieważ wydział krajowy daje tylko 4.000 złr., Towarzystwo pokrywać musi resztę 4,600, co wobec szczupłych jego środków ogromnym jest ciężarem. Należy się też uznanie różnym kołom prowincyonalnym, które własnym kosztem w ubogich i odległych gminach szerzą oświatę. Trzeba przecież zrozumieć, że Towarzystwo chwilowo tylko wyręcza rząd, o ile budżet oświaty nie może wydatkom sprostać. Jeżeli nie stać na gmachy trwałe, dobrze jest kosztem kilkuset złr. zapewnić dzieciom naukę.

Po za tym najważniejszym może objawem działalności Tow. szkoły ludowej jest zakładanie wypożyczalni bezpłatnych, których dziś istnieje w całej Galicyi 58. To szerzenie oświaty nieurzędowej jest solą w oku prasy konserwatywnej, zwłaszcza *Czasu*, bo Towarzystwo szkoły ludowej współzawodniczy z Tow. oświaty, znacznie dawniejszem, protegowanem przez duchowieństwo i żywioły konserwatywne.

Wykłady ludowe, które przeszły do Towarzystwa uniwersytetu ludowego, rozwijają się pomyślnie. Samo Towarzystwo liczy w Krakowie 260 członków, którzy wnosząc składkę, 2 złr. rocznie, mają prawo słuchania bezpłatnie wszystkich wykładów, a zatem przeszło 100. Dla nieczłonków wstępy są także minimalne 5 ct. na wykład. Nic też dziwnego, że nawet mały Kraków liczy setki słuchaczów. Wśród nich przeważają zwykle kobiety. O ile zawód słuchaczów daje się oznaczyć, można liczyć 40% robotników. Na takich zaś wykładach jak sądy przemysłowe, do których właśnie w Krakowie rozpisano wybory, audytoryum, paręset osób, stanowią prawie wyłącznie robotnicy.

Ciekawą jest statystyka wykładów z ostatnich dwóch miesięcy roku ubiegłego. Na 24 wykładach było 4,194 osób. Największe zajęcie wzbudzały filozoficzne (średnia liczba słuchaczów 182), potem historyczne (123—124), przyrodnicze z zoologii i o elektryczności 110—116, prawo po 95 słuchaczów i hygiena najmniejszą liczbę 51 przeciętnie. Obecnie liczba wykładów wzrosła do 6 na tydzień; nie przerwano ich nawet w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, a wykład p. inż. Libańskiego sprowadził tłumy, zmęczone familijno-uroczystym nastrojem domowym. Rozpoczęto również próby przeniesienia wykładów na prowincyę, gdzie, zwłaszcza w Morawskiej Ostrawie, ogromne miały powodzenie.

Zniesienie stempla pobudziło całą prasę krakowską do różnych dodatków, zniżek, obietnic, słowem do nieznanej dotąd hojności. Za *Słowem Polskiem*, które dorównało prawie *Gazecie Polskiej*, (300 arkuszy dodatków i dwa wydania dziennie), poszły pisma krakowskie, które się zdobyły na drugie wydanie lub dodatek powieściowy co tydzień *(Nowa Reforma)*. Staruszek *Czas* zdecydował się również na drugie wydanie ale dopiero od 1 lutego.

P. Kotarbiński dał nam w ostatnich tygodniach parę godnych uwagi nowości. Pierwsze wśród nich miejsce zajmuje „Kordyan,“ inscenizowany prześlicznie, który na deskach teatralnych wspaniale uwydatnił arcydzieło Słowackiego. Jakkolwiek dużo ustępów musiano opuścić, wynosimy z teatru potężne wrażenie. Niegrany dotąd w Warszawie dramat Ibsena, „Oblubienica morza,“ należy do najpiękniejszych kreacyj mistrza Północy. Odzywa się w nim ten sam motyw, który występuje w „Norze,“ ale brzmi potężniej, silniej przemawia do duszy, rzucony na tło mistycyzmu. Ibsen oddziałał niewątpliwie na modernizm dzisiejszy, jakkolwiek jego mistycyzm splątany jest zawsze z dążnościami społecznemi, albo ma podkład realistyczny, podczas gdy nasi i obcy najnowsi radziby przedstawić czyste życie instynktów, jak gdyby ono mogło w tej bezpośredniości występować u ludzi dzisiejszych i na tle naszej kultury.

Jakkolwiek „Oblubienica morza“ wychodziła przed laty kilkunastu w bibliotece *Przeglądu Tygodniowego*, przypomnę jej treść: Ellida, wychowana nad morzem jako córka dozorcy latarni, dostaje się do zacieśnionego fiordu norweskiego, poślubiwszy doktora Wangla. Zdecydowała się wyjść za mąż osierocona, nie mając innego wyboru, Wangel zaś chciał w niej widzieć drugą matkę dla dwóch swoich córek dorastających. Wbrew oczekiwaniu, małżeństwo z rozsądku zamienia się na małżeństwo z miłości, ale wtedy właśnie Ellidę zaczynają dręczyć wątpliwości. Jeszcze będąc młodą dziewczyną zaręczyła się z nieznajomym. Ten odjechał, bo odjechać musiał, ale zapowiedział swój powrót. Ponieważ Ellida dobrowolnie dała mu słowo, czuje się z nim więcej związaną, niż z mężem. Jakkolwiek z nim się zżyła, nurtuje w niej żal, że nie miała swobody wyboru, że się poprostu sprzedała. Na tle tego niezadowolenia rodzi się żal za morzem, jako pokrewnym jej żywiołem. Czuje wciąż władzę tamtego człowieka, czeka go i uprzedza męża, że będzie musiała pójść za nim.

Gdy jednak nieznajomy powrócił, a zrozpaczony mąż, nie wiedząc jak radzić, oddaje jej swobodę, Ellida przychodzi do zdrowia. Jako człowiek wolny, uczuła się silną; ani morze, ani nieznajomy nie mają nad nią wpływu. Wybiera męża i życie, do którego już przywykła.

Artyści krakowscy nie zdołali dostatecznie zrozumieć niezmiernie trudnego dramatu Ibsena. Zwłaszcza nieznajomy, pomimo, że interpretował go wyborny artysta, Solski, przypominał trochę commis-voyageura, nie tajemniczą i groźną postać. Pomimo to „Oblubienica morza“ pozostawiła trwałe wrażenie, a interpretatorka jej, urocza p. Siemaszkowa, wybrała ją sobie na występ pożegnalny. Artystka przeniosła się do Warszawy. Kraków traci w niej najlepszą siłę aktorską, to też żegnał ją deszczem kwiatów i oklasków.

Przed dwoma dniami w uniwersytecie odbył się wykład wstępny prof. Lutosławskiego. Jego osoba w mieście budzi już zajęcie, na wykład napłynęło mnóstwo publiczności, ale z fakultetu nikt się nie zjawił, a nawet drzwi audytoryum przez 3 kwadranse były zamknięte, tak że sam docent nie mógł się do niego dostać.

x. y. z.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Czy zaściankowe pojęcia?

Napisał br. Tyszkiewicz, pobudzony i oburzony artykułem p. Jelskiego w „Kalendarzu“ petersburskiego Towarzystwa dobroczynności o naszem możnowładztwie, postanowił obliczyć się ściśle z „zaściankowemi pojęciami“ o arystokracyi polskiej, która, jak wiadomo, stoi dotąd pod zarzutem głównej winowajczyni klęsk narodu. Twierdzenie — mówi autor w swojej świeżo wydanej broszurze— iż arystokracya zgubiła Polskę, jest u nas powszechnem i popularnem, jest to *credo* naszych zaścianków, a jednocześnie wszystkich (?) gazet niemieckich i rosyjskich. Odważam się stanowczo zaprzeczyć temu. Polskę zgubiły instytucye szlachecko-demokratyczne i parlamentaryzm, fatalne objawy gminowładztwa słowiańskiego wśród monarchicznej Europy.“ Dopóki możnowładztwo rządziło w kraju, nietylko naród żył w ładzie i sile, ale wszystkie jego warstwy — z wyjątkiem szlachty — brodziły w szczęściu: mieszczanin był zadowolony, a chłop „bogaty.“ Lwy nie trapiły tak nigdy zwierząt roboczych i dojnych, jak wilki, rysie i żbiki; wielcy panowie pozwalali żyć pod swojemi stopami poddanym, a dopiero demokraci herbowi deptali ich bez miłosierdzia. Dowiódł tego między innymi — p. Walery Przyborowski. Szczęsny Potocki, przyjmując króla w Tulczynie, dla uczczenia tego pobytu godną pamiątką, uwolnił swych chłopów z poddaństwa na przestrzeni „póki oko Jego Kr. Mości sięgnęło“ z ganku tulczyńskiego. Jednocześnie możnowładcy polscy roztaczali troskliwą opiekę nad oświatą krajową: zakładali szkoły, drukarnie, uposażali hojnie instytucye społeczne, a nawet wyłaniali z pośród siebie „znakomitych artystów,“ jak: Antoni Radziwiłł, Michał Ogiński, Kazimierz Lubomierski, Wład. Tarnowski i tym podobni. Rozważywszy to wszystko na 30 stronicach broszury, hr. Tyszkiewicz „może śmiało powiedzieć, że żadna arystokracya nie miała tak świetnego stanowiska w Europie, jak nasza.“

Chociaż na poparcie tego mniemania przytoczono trochę cytat, trochę faktów i trochę nazwisk, młoda marzycielka, która wierzy, że ją pokocha, wykradnie i poślubi królewicz z bajki, nie łudzi się bardziej co do rzeczywistości swych rojeń, niż autor „Zaściankowych pojęć o możnowładztwie naszem.“ Przedewszystkiem wyrzucając powierzchowność sądów szkole Lelewelowskiej, nie dostrzega, że sam zapuszcza sondę jeszcze płycej. Bo jak można wobec dzisiejszych punktów widzenia w historyografii, oceniać jakąś warstwę społeczną w oderwaniu od innych, a procesy życiowe badać w ramach aktów pisanych? Kwiat rośliny tak samo wychodzi z soków czerpanych przez jej korzenie, jak kora łodygi. Gdyby nawet dowiedziono, że stare rody wielkopańskie były płonkami odmiennego pochodzenia, to one, zaszczepione na pniu szlacheckim, tak szybko z nim się zrosły, że stanowiły jedną całość organiczną. Możnowładztwo polskie tedy było z tej samej krwi i tej samej kości, co szlachta, zwłaszcza że ciągle z niej się pomnażało i odnawiało, a jej choroby były również jego chorobami. O żadnym przedziale, rozbracie i przeciwieństwie między tymi żywiołami nie może być mowy. Różnice — i to bardzo znaczne— zachodziły w stopniach. Ludzie pokrewnej lub jednakiej natury, zależnie od zajmowanych stanowisk i posiadanych środków, mogą w rozmaitej mierze ujawniać swoje zalety i wady. Neronów było na świecie wielu, ale jeden tylko miał sposobność okazania całkowicie swych potwornych instynktów. Gdyby był się urodził i pozostał przewoźnikiem, prawdopodobnie byłby zamordował jakiegoś winiarza lub szewca i poszedłby do więzienia; ale ponieważ wyniesiono go na tron, rozwinął swe zbrodnicze popędy w olbrzymim zakresie władzy. Mały kaganek jest również ogniem, jak pożar; a jeżeli pierwszy nas tylko parzy, a drugi niszczy, to dlatego, że pierwszy jest mały, a drugi wielki.

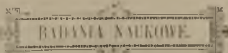
Małych Radziwiłłów Czarnych lub Radziwiłłów Panie Kochanku pływały całe ławice w ówczesnem jeziorze szlacheckiem, ale wieloryby dla wyrośnięcia potrzebują oceanu. Tej drabinie stanowisk i zależnych od niej obrębów działania odpowiada zawsze i wszędzie skala pochwał i nagan, szacunku i nienawiści. Inaczej cenić lub potępiać będziemy szlachetkę, który był opiekunem lub tyranem ludu w drobnej wiosce, a inaczej możnowładcę, który rozpościerał swą władzę nad całem województwem: inne były grzechy szaraczka, który warcholił na sejmiku, a inne — magnata, który wichrzył kraj wojną domową. W tej różnicy tkwi przyczyna niesławy, albo — mówiąc językiem hr. T. — „zaściankowych pojęć o możnowładztwie naszem."

Nie znam drugiego narodu, którego dzieje przedstawiałyby tyle pozorów odmienności rozwoju, co nasz. Zdaje nam się, że życie nasze toczyło się całkiem odrębną koleją, niebiegnącą równolegle do innych. Tymczasem pomimo niewątpliwych zboczeń i zawrotów przedstawiało ono podobiznę ogólnego układu stosunków w Europie. Tak np. uchodzi za pewnik, że nie przeszliśmy przez okres zachodnio-europejskiego feodalizmu. Komu wszakże nazwy nie zasłaniają rzeczy i kto uważnie zbadał uwarstwowienie pokładów społecznych w naszej przeszłości, ten łatwo dostrzegł, że feudalizm nietylko u nas istniał, ale przetrwał dłużej, niż w innych krajach. Pod swoistemi imionami mieliśmy zuzerenów i wasalów rozlicznych stopni tak samo, jak Niemcy lub Francya. Szlachcic na zagrodzie krzyczał, że jest równym wojewodzie, w rzeczywistości zaś był jego lennikiem, sługą, pachołkiem. W ciągłej, faktycznej zależności trzymały go nie ustawy, ale silniejsze od nich przymusy ekonomiczne. Co ta przechwałka zagrodowca znaczyła wobec niemocy materyalnej, wobec faktu, że możnowładca mógł „równego" sobie pana brata zdmuchnąć swą potęgą? Była to ironia podobna do tej, jaką dziś widzimy w rzekomem równouprawnieniu obywateli państw konstytucyjnych. Wszakże pełnoletni biedak ma równe z magnatami prawo do głosu wyborczego i do najwyższych godności; ale niech on sprobuje wybrać kandydata nieprzyjaznego swemu chlebodawcy, sięgnie po urząd prefekta lub landrata! Matka konstytucya pomyśli, że jej ambitny synek zwaryował.

Nikomu zapewnie nie przyszłoby na myśl twierdzić, że włodarz, który sypał baty parobkowi, był okrutniejszym od pana, który kazał wymierzyć tę karę. A jednakże hr. T. wypowiada podobny pogląd na różnicę uczuć, zasad i czynów szlachty a możnowładców. Że jakiś szarak na 15 włókach bardziej dokuczał chłopom, niż pan na milach kwadratowych— wierzymy najzupełniej, ale działo się tak dlatego, że pierwszy stykał się z ludem bezpośrednio, a drugi — przez obłoki. Do kogo Starowolski zwracał te słowa: „Dzisiejszych zaś czasów tylko sami panowie chcą się dobrze mieć; role, łąki, sady, place, ogrody, które się im podobają, a drudzy i dzieci poddanych biorą, a jeszcze się uskarżają na niezyczliwość poddanych, którym bydełko, jarzyny, zboża, kury, gęsi, pszczoły i wszystko, co jeno mieli, łakomie zabrawszy, nawet bukwie z drzewa albo gałęzi i dębów darmo zbierać dla pożywienia swego i bydlęcego nie pozwalają." Kogo on miał na myśli, żądając, ażeby „panowie poddanych swoich *pro libitu suo* nie zabijali, nie łupili z umiejętności, ani ich też gwałtownemi robociznami nie obciążali, ale się z nimi jako ludzie po ludzku obchodzili"?... Tłum szlachecki, czy Olimp magnacki? Zapewnie oba, chociaż panowie Tarnowscy lub Wiśniowieccy sami nie odganiali chłopów od bukwi i żołędzi, mieli do tego dzierżawców, ekonomów. Również sam Walenstein nie łupił zdobytych miast, wyręczali go w tej robocie żołnierze. A jeżeli Szczęsny Potocki, popisując się gościnnością wobec St. Augusta, uwolnił poddanych na obszarze swych dóbr, „póki oko J. Kr. Mości sięgnęło" z ganku tulczyńskiego, to chyba tem okazał raczej grzeczność dla króla, niż dbałość o lud, gdyż inaczej nie czekałby ze swą wspaniałomyślnością do przyjazdu monarchy i nie ograniczyłby jej, „póki oko J. Kr. Mości sięgnęło."

Cokolwiek mówi wierny sługa wielkich panów Bobrzyński, a za nim wielki pan hr. Tyszkiewicz o zdolnościach i zasługach możnowładztwa polskiego, jest to faktem niezbitym, że ono dowiodło zupełnego braku zmysłu politycznego i rozumienia organizacyi państwowej, że pielęgnowało w narodzie zasady stale rewolucyjnego feodalizmu, niecofającego się przed żadnym gwałtem i żadną niecnotą dla dogodzenia osobistym celom; że wyzyskując swoją siłę ekonomiczną oraz indywidualistyczne usposobienia szlachty, rozbijało ją i skupiało w widokach własnych; że ją w końcu zdemoralizowało do gruntu swojemi wichrzeniami i zgnilizną moralną. Zamiast spójnego państwa budowało ono zbiór luźnie złączonych a zwykle wrogich państewek, zamiast jednolitego narodu tworzyło wzajemnie zwalczające się drużyny i obozy, wieloczłonkową a rozkiełznaną, samolubną oligarchię. Autor broszury, przecząc istnieniu u nas rządów arystokratycznych i przypisując wszystkie klęski „gminowładnym," bierze arystokracyę nie w znaczeniu społecznem i historycznem, ale towarzysko-salonowem i sam właśnie wprowadza do nauki „pojęcie zaściankowe." Jeśli zaś teraźniejszość ma prawo i potrzebę pozywania przed swój sąd przeszłości, to na ławie oskarżonych sadza ona nie jakiś „gminowładczy" i „demokratyczny" tłum szlachecki, który broił i grzeszył pod złą komendą, lecz tych wodzów, którzy nie mogą nigdy odróżnić swojego interesu od dobra ogółu.

Poseł Prawdy.



John Ruskin.

II.

1. Socyologia Ruskina.

Ludzkość współczesna nietylko pod względem materyalnym znajduje się pod panowaniem maszyny. Maszyna to znaczy — podział pracy, zróżniczkowanie, atomizacya. Te same prawa panują dziś i w sferze ducha. I tutaj zróżniczkowanie pól pracy, atomizacya jej wykonawców — dały tak samo, jak w zakresie produkcyi materyalnej rezultaty „dodatnie." Produkcyjność wzrosła. Nazywa się to również — specyalizacyą. Któryś z historyków niemieckich *minorum gentium*, zapytany w towarzystwie o jakiś szczegół z charakterystyki Dantona, miał odrzec: „Przepraszam, moją specyalnością są dzieje Bawaryi od r. 1577—1580." Wieleby dało się w tej kwestyi powiedzieć.

Kiedy po upadku wielkich systematów metafizycznych, a właściwie po upadku systemu heglistowskiego, „filozofia" rozpadła się na kilkanaście i kilkadziesiąt działów i poddziałów, po części zlała się z przyrodoznawstwem ogólnem, po części odeszła pod berło historyi itd., zapanowały i tu prawa produkcyi nowoczesnej. Mamy tedy niewątpliwie znakomitych teoretyków poznania, psychologów i historyków filozofii, a nawet w zakresie bardziej ograniczonym, w każdym z tych bądź co bądź obszernych działów — znajdziemy dziesiątki i setki bardziej jeszcze „specyalnych" specyalistów. Jeden pracuje nad „pamięcią," drugi nad „chorobami woli," trzeci nad teoryą kojarzeń. Dochodzi to niekiedy aż do śmieszności. Mówimy zazwyczaj, iż zależy od tego „postęp nauki." Systematy metafizyczne upadły, bo ich autorowie budowali poglądy filozoficzne, ogarniające wszechświat, bez wszelkiego zgoła materyału, bez cegieł i wapna i drzewa, którychby właściwości znali i poznali. Należy tedy zacząć z „drugiego końca," każdą cegiełkę zważyć, każde ziarnko miału wapiennego pod mikroskopem zbadać, należy z całą świadomością widzieć tylko „drzewa," ale nie oglądać „lasu"; pokolenia późniejsze dopełnią reszty. Z przedziwną tedy skromnością nauka współczesna wyznaczyła pracownikom swoim stan cywilny mularzy. Ale czy kiedykolwiek będą się mogli narodzić z plemienia mularzy — budowniczowie?

Otóż czytając Ruskina, powinniśmy zapomnieć zupełnie o współczesnych warunkach i metodach pracy naukowej. To nie jest żaden autor kilkunastu przyczynków do teoryi kojarzeń i komórki nerwowej, żaden zwyczajny albo nadzwyczajny profesor niemiecki. Należy on do tych dzisiaj zaginionych gatunków „rodzaju filozofów," co to, pod platanami i po gajach oliwnych Aten przechadzając się, rozprawiali mądrze i dowcipnie, niekiedy wzniośle pod względem etycznym, doskonale pod względem logicznym — o wszystkiem i o niczem, o wszelkich sprawach boskich i ludzkich, o *Dajmonion* i Mądrości, o Sprawiedliwości i Ksantypie, o tyranach i o piasku morskim. Szedł sobie taki mędrzec, gromady uczniów wiódł za sobą, przechodniom zadawał przedziwne zagadki i tak po drodze rwał kwiaty myśli i układał z nich — księgi. Oczywiście myśl ludzka nie jest i dziś jeszcze maszyną, która zawsze z siebie ten sam deseń wyrznca. To też poglądy mogły być najróżnorodniejsze, dedukcya mogła dziś dać wynik jeden, a jutro inny, sprzeczny z wczorajszym. Zupełnie to samo widzimy u Ruskina. W pięknych i mądrych jego traktatach pełno antinomij i występków logicznych. Z tych wielu tomów nie dałoby się wykroić ani jednej rozprawy habilitacyjnej. Autor nie mógłby nigdy zostać członkiem akademii... Świat bowiem zjawisk jest tak różnorodny, niejednolity i pełen sprzeczności, królestwo empiryi płynie i wytwarza tak wieloliczne i wzajem się wykluczające krystalizacye, że myśl filozofa, który o żywą ludzkość się troska i dla niej żyć pragnie, ciągle uderzać musi o jakieś skały podwodne. Tylko w najdalszych głębiach tego oceanu spoczywa wielki, syntetyczny i pod względem logicznym doskonały, prosty pogląd na świat. Mówiliśmy już o nim w poprzednim artykule.

I dlatego też tak niezmiernie trudno jest z dzieł Ruskina wykroić jakąś całość systematyczną, jakiś jednolity organizm poglądów socyologicznych. Jeżeli dajemy poniżej taki obraz, to nie może on być pełnym i dobrym. Nam tu, związanym czasem i przestrzenią, chodzić tylko może o wynalezienie kilku rysów wybitnych — w charakterystyce Ruskina, o wydobycie z labiryntu jego dzieł *leit-motiv'u* symfonii, którą grał, a którą zrozumieć potrafiłby tylko ten, kto ją całą słyszał, niejednokrotnie studyował, a może i ukochał. Dajemy, co możemy — pobudkę...

A jeszcze jedno. Pamiętajmy zawsze, że poglądy R. tworzyły się w przeciwstawieniu do rzeczywistości tej, którą przeżywał i nienawidził. Można go zrozumieć, przeróżne dziwactwa wytłomaczyć tylko wtedy, kiedy tego drogowskazu z oczu spuszczać nie będziemy. Wszystkie jego pisma miały kiedyś i dziś jeszcze mają charakter wybitnie aktualny, publicystyczny i dlatego właśnie wzniecały takie płomienie mi-

łości i wzgardy. Wartość swą objektywną, stałą zawdzięczają temu, że rodziły się w słońcu ogólnego poglądu, którego dalszem albo bliższem były odbiciem. Ten pogląd na świat atoli wyczuć potrafi nie czytelnik, jeno wyznawca...

„Jaka powinna być normalna organizacya działalności ludzkiej w społeczeństwie szczęśliwem?" — Nad tą pra-kwestyą naszego bytu Ruskin zastanawiał się powielekroć; myśl jego, płynąc po przestworach zagadnień i zwątpień, zakreślając coraz to szersze koła poznawania świata czynów ludzkich i świadomości, wracała zawsze do punktu węzłowego, w którym przecinały się myśli i czyny, wątpliwości i nadzieje. Inaczej to formułował ten pytajnik, mówiąc: „W jakich warunkach społeczeństwo może urządzić życie swoich członków tak, aby mieć największą ilość szlachetnych i szczęśliwych jednostek ludzkich?" Przedewszystkiem należy pomyśleć o wytworzeniu zdrowych dzieci. A w tym celu trzeba „uregulować związki małżeńskie"; należy raz na zawsze podciąć u korzenia dziedziczność chorób; „państwo" winno gasić w zasadzie samej ogniska rodzinne epileptyków, suchotników, wenerycków i przestępców zawodowych. Powtóre należy oprzeć wychowanie na zupełnie odmiennych podstawach. „Uważam za pierwszy obowiązek państwa pomyśleć o tem, aby każde dziecko miało dobre mieszkanie, było dobrze ubrane, żywione i chowane do chwili, kiedy rozpocznie wiek dojrzały." Ruskin nie miał tu na myśli „upaństwowienia pieczy macierzyńskiej." Przeciwnie — rodzina i obowiązki rodzicielskie są to kamienie węgielne w gmachu przyszłego błogostanu społecznego; chodzi mu tylko o to, że działalność społeczna na tem polu powinna być wzmożona. Dzieci rozwijać trzeba naprzód fizycznie: szkoły należy budować w zdrowych miejscowościach i zaopatrywać je w duże przestrzenie wolnej ziemi, jazda konna, wyścigi piesze, taktyka wojskowa — obrony i akcyi zaczepnej — oto treść wychowania fizycznego. „Niezależnie od tego należy kształcić w dzieciach szacunek i współczucie dla człowieka (dwie wielkie cnoty) i poddawać im zasady moralnego sprawowania w życiu — uczciwość ducha i słowa, myśli i wzroku" (Time and Tide, § 75). Wreszcie przechodząc do kształcenia umysłu, należy uczyć historyi, przyrodoznawstwa i matematyki, a przedewszystkiem języka ojczystego. Dzieci, które życie swe spędzić mają w mieście, powinny, o ile to da się pogodzić z ich skłonnościami, uczyć się matematyki i sztuk pięknych; dzieci, przeznaczone do zajęć wiejskich, winny poznawać historyę naturalną ptaków, owadów i roślin, a jednocześnie uczyć się uprawiać ogród szkolny.

S. Posner.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Adolf Dygasiński: *Zając*, powieść. Warszawa. nakład Jana Fiszera, rok 1900, str. 262 — *Z naszej niwy*, nowele. Warszawa. nakładem księgarni A. G. Dubowskiego, r. 1900, str. 308.

Nie pierwszy raz mamy sposobność mówić na tem miejscu o utworach powieściowych Adolfa Dygasińskiego, a zawsze podkreślać nam w nich wypadało wyborną znajomość i artyzm w odtwarzaniu zarówno życia zwierząt, jak ludzi, stojących na niższych szczeblach kultury, oraz to prawdziwie męzkie, z głębi duszy płynące współczucie dla wszystkiego, co słabe, opuszczone i nieszczęśliwe.

Autor „Głodu i miłości" patrzy jednocześnie na świat okiem filozofa-przyrodnika i poety. Dostrzegając na każdym kroku wpływ i działanie niezłomnych praw natury, obowiązujących w jednakowym stopniu dwa różne z pozoru światy — zwierząt i ludzi, czułe swe serce zwraca przedewszystkiem ku jednostkom prześladowanym i upośledzonym, niemogącym sprostać silniejszym braciom w nieuniknionej, a dla słabych strasznej w swych skutkach, walce o byt. Obrazy jego z życia psów, lisów, wilków, wróbli, zajęców i jastrzębi nie są przytem bynajmniej suchemi alegoryami, przedstawiającemi, pod osłoną przenośni, stosunki ludzkie, lecz rzeczywistem i aż do szczegółów drobnych prawdziwem odtworzeniem bytu zwierząt, w celach jedynie tem większej plastyki — malowanych często przy pomocy figury, znanej w stylistyce pod nazwą uosobienia czyli personifikacyi.

Co jednak lubi autor — to wykreślanie między objawami życia ludzkiego i zwierzęcego pewnego rodzaju linij równoległych, mających uwydatnić przewodnią myśl wielu jego utworów, że tu i tam działają prawa te same, często nawet odbijające się w życiu bez żadnej niemal w obu wypadkach różnicy. Uderza to zwłaszcza w tych sferach, gdzie ogłada towarzyska, polor zewnętrzny i formy świątowe nie zdołały osłonić nieco w człowieku cech pierwotnego egoizmu i brutalnej dzikości. To nam poniekąd tłomaczy, dlaczego, obok zwierząt, Dygasiński maluje tak często najniższe warstwy ludowe, tudzież wszelkiego rodzaju strzelców, gajowych, kłusowników, oficyalistów dworskich nieróżniące się prawie od nich swym poziomem moralnym i umysłowym — mniej wykształcone sfery szlachecko - ziemiańskie. Rządzące światem prawa głodu i miłości, ucisku słabego przez silnego, występują tu, na nizinach życia zbiorowego, w swej całej bezwzględnej i częstokroć okrutnej nagości.

W dwu nowych książkach Dygasińskiego jedna myśl zwłaszcza powtarza się konsekwentnie, jak gdyby autor chciał na niej umyślnie położyć nacisk szczególny. Potężne dążenie do zachowania gatunku pcha jednostkę rodzaju męskiego do zakładania rodziny, która ze swej strony, na wszystkich stopniach życia zwierzęcego i ludzkiego, wywdzięcza się założycielowi swemu strasznym wyzyskiem jego sił i zdolności, zmuszając go nawet częstokroć do popełniania czynów, które w języku ludzkim noszą nazwę zbrodni, a są, według deterministycznej filozofii naszego nowelisty, naturalnym wynikiem ciężkich warunków bytu. „Oj żeby nie ta bieda — woła bohater wybornej noweli „Głód i sumienie," najlepszej w świeżo wydanym zbiorze „Z naszej niwy" — nie byłoby i grzechów na świecie." A bieda ta właśnie bywa u Dygasińskiego najczęściej następstwem zbyt wielkiego ciężaru, który na barki osobnika wkłada rodzina w swych najrozmaitszych przejawach i formach.

Klasycznymi pod tym względem są dwa ustępy w „Zającu," z których jeden maluje stosunki rodzinne kłusownika Tetery, a drugi — szczęście, jakiego przy ognisku domowem doznaje przebiegły lis Kita.

„Trzy lata upłynęły od czasu, kiedy Tetera zrozumiał, iż dla zadośćuczynienia wymaganiom rodziny w żaden sposób nie wystarczą dochody z roli. Dobrze strzelał, lubił polowanie i na starość rzucił się do kłusownictwa. Sam słaby, szukał słabszych od siebie, ażeby nimi nakarmić tych, których kochał — był w tem podobny do wilka i lisa. Dumny ze swojej rodziny, zamknięty zupełnie w rodzinnem samolubstwie, zbliżał się do ludzi o tyle, o ile to obiecywało jakieś korzyści dla jego domu. Miłość nakłada obowiązek, domaga się czynów; on też zaspakajał potrzeby życiowe tych, którym dał i samo życie. Przyjmowano to od niego tak, jak gdyby inaczej być nie mogło, a wymagano coraz więcej. Co zarobił, co oszczędził, wydarł innym, ukradł — wszystko niósł na łono rodziny, na swój jedyny ołtarz. Rzadko kiedy miał tę pociechę, że zupełnie zadowolił życzenia. Bo gdyby nawet nic w domu nie brakło, to zawsze jeszcze obiło się o jego uszy jakieś pragnienie ptasiego mleka: „Oh, gdybym ja miała fortepian!" Niestety, na fortepian nie mógł się zdobyć!"

W podobny sposób pod koniec kwietnia i w maju lis Kita nie ważył się nigdy „wracać do chałupy z próżnemi rękami." Kicina przez jakiś czas musiała wtedy dzień i noc ślęczeć przy noworodkach, stosownie do lisiej tradycyi, a któż, jeśli nie mąż, ma w takim razie zaspakajać potrzeby małżonki? Bierz skąd chcesz, a być musi! „Później — czytamy dalej — gdy dzieci podrosły, miewało jego ojcowskie serce ogromną pociechę: zasiadał nieraz na ogonie, przyglądał się zabawie siedmiorga lisiąt płci obojej. Był tam szczególniej jeden synek, jego ulubieniec, bardzo obiecujący lisek — wykapany tatuś. Ten zwykle spotykał wracającego do domu ojca w głównym kurytarzu i, łasząc się z przymileniem, odrazu sięgał po zdobycz, którą stary w zębach przynosił: zawsze coś uskubnął ten pieszczoch i pociecha rodziców. Wzięty za serce Kita, jakżeby się nie miał poświęcać? Egoizm rodzinny jest słodkim, rozkosznym obowiązkiem."

Szczegóły te, w tem samem oświetleniu ironicznem, powtarzają się prawie bez zmiany w noweli „Wróble," gdzie również samiec zapracowywać się musi na utrzymanie rodziny, gdzie tak samo „ów pierworodny synek, ukochane bobo mamy," nigdy się nie mógł nasycić i gdzie wreszcie — jak mówi autor — aż obrzydliwość brała patrzeć na te nagie brzuszki, wypchane jadłem po sam gardziel, a ciągle jeszcze łaknące. „Ktoby zajrzał do dziupli z wróblem gniazdem, spostrzegłby tam zawsze jedno: sześć żółtych dziobów, szeroko otwartych i oczekujących, ażeby w nie coś wrzucono."

A wracając znów między ludzi, widzimy nieszczęsnego Michała Podymę („Głód i sumienie"), straconego przez przywiązanie do niezwykle licznej rodziny z otchłani jednej zbrodni w drugą, póki nareszcie wyrzuty sumienia nie doprowadziły go do oskarżenia się dobrowolnego o skrytobójstwo, popełnione rozmyślnie w celu zarobienia dla żony dwudziestu pięciu rubli. „Przez te raki pędraki człek ciągiem musi grzeszyć! Trza obcym brać, żeby swoje nakarmić... Dwoje, troje tego drobiazgu, niechby nareszcie czworo, pięcioro... dobrze! Ale ona, psia kość, naparta do dzieci: jak się zawzięła, to roczku jednego nie wytrzyma bez dziecka... Żywże toto, odziewaj! Jezusiczek i tak jeszcze na mnie łaskaw, że niektóre do swej chwały pozabierał."

„O wdzięczności lisy nie mają pojęcia" — mówi raz sentencyonalnie autor: o zapatrywaniu zaś jego na wdzięczność w rodzinie ludzkiej daje dokładne pojęcie wymowny w swej lakoniczności obrazek. Stary Tetera, z którym powyżej zapoznaliśmy się już nieco, wrócił raz do domu osłabiony, zdźwigany, chory, ku prawdziwemu zgorszeniu i zdziwieniu żony i córki, które nie przypuszczały, aby stary mógł chorować, gdyż dotąd one miały wyłączny przywilej wylegiwania się w łóżku.

„Pod wieczór pogorszył się stan zdrowia i chory zaczął stękać.

— Czego kwękasz? — fuknęła nań Flora — to ci nie ulży, a nas głowy bolą.

Napomniany wstrzymał się już od jęków i choć sam w nocy nie spał, innym spać nie przeszkadzał."

Jakże często z objawami podobnej czułości spotkać się można nietylko w rodzinach Teterów!

Już to do żon ma Dygasiński predylekcyę szczególną i może zanadto ryczałtowo maluje wszystkie na czarno, przedstawiając je stale, jako sekutnice i złośnice, zatruwające swym towarzyszom w wędrówce doczesnej każdą chwilę życia. Panią Florę poznaliśmy przed chwilą. Nieustraszony w kniei Tetera nie śmie przy niej pary z ust wypuścić. Żona Maćka Fuły, bohatera tytułowego pierwszej z rzędu w tomie świeżo wydanych nowel, jest również znaną złośnicą i kłótnicą, lekceważącą nadzwyczajnie męża, a przy sposobności niewahającą się nawet karcić go pięścią, warzochą, miotłą lub ożogiem. Pani Antoniowa Chmurzyńska („W parafii świętego Huberta“) potrafi też po swojemu trzymać krzepko w rygorze mężulka, a na cały legion postaci kobiecych, z któremi mamy do czynienia w ostatnich pracach autora „Dramatów lubądzkich,“ dwie tylko, Ulina w „Znajdce“ i pani Róża Gorzańska w „Parafii św. Huberta,“ wywierają wrażenie sympatyczne, ale za to są przedmiotem obmów i nienawiści ze strony wszystkich otaczających je przedstawicielek płci słabej a nadobnej, umiejących w żądła i sztylety zamienić swe niewinne języczki.

Lecz mimo wszystko, Dygasiński nie jest powieściopisarzem. Stwierdzają to najlepiej te właśnie zbiory ciekawych epizodów i barwnych obrazków, które, jak to np. widzimy w „Zającu,“ autor łączy sztucznie w pewnego rodzaju całość, otrzymującą nieodpowiednią w gruncie rzeczy nazwę powieści. Powiedział ktoś trafnie o Wolterze, że nie był on takim wielkim uczonym, żeby nie mógł uprawiać poezyi. Do autora „Wilka, psów i ludzi“ zdanie to również zastosować by można, ze zmianą słowa poezya na wyraz nowela, nigdy powieść. Takie zwłaszcza „powieści“ jego, jak „As“ lub „Zając,“ są wartościowe, pełne ciekawych spostrzeżeń i myśli, zajmujące, mądre i ładne, ale — nie są powieściami. Jeżeli między historyą kłusownika Tetery i lisa Kity przeprowadzić jeszcze można pewnego rodzaju analogię, to cóż wspólnego ma naprawdę cały ten ruchliwy i ciekawy sam przez się świat, w którym przesuwają się przed oczyma czytelnika takie postacie, jak pobożny i cnotliwy, lecz dziwnie niedołężny strzelec Malwa, sztywny z nadmiaru wypitej „waleryany“ szafarz dworski Kacper Kulik Zdrojewski, kochliwy „doktór“ wiejski Chylecki i innych wiele, cóż mają oni wszyscy wspólnego z głównym bohaterem utworu, bozuchym szarakiem, który wyszedł szczęśliwie z największych opałów, aby przez ironię losu zginąć przypadkiem z rąk ostatniego partacza?

Zapewne, łącznik jakiś odnaleźć by tu można, choćby ten, który istnieje między ofiarą a jej niezmordowanymi prześladowcami. Można również z autorem wyprowadzić z całego splotu zdarzeń myśl ogólną, że oto na polach i w kniei Morzelan giną osobniki, a gatunki pozostają te same: szaraki-gracze, lisy-Kity, psy-włóczęgi, złodzieje-kłusownicy. Ale wszystko to razem nie połączy jeszcze poszczególnych epizodów węzłem ściślejszym, nie wytworzy harmonijnej i prawdziwie artystycznej całości z chaotycznego nieco materyału do kilku, może nawet kilkunastu wybornych nowel.

Że jednak autor „Zająca“ umie być artystą prawdziwym, o tem w świeżo wydanym zbiorze zaświadczyć może najlepiej wspomniana już przez nas, a wyborna pod każdym względem nowela p. t. „Głód i sumienie.“ Ani jeden rys nie jest tam zbyteczny, wszystko, począwszy od opisu odpustu w Zębocinie „na święty Stanisław“ lub rozmowy Grzegorza Słomki z Maćkiem Podymą na początku noweli, aż do psychologii obawy w duszy pierwszego, a wyrzutów sumienia u drugiego, doprowadzających do katastrofy końcowej, jest tam nakreślono po mistrzowsku. Niepodobna nic dodać ani ująć bez zepsucia tego prawdziwie tragicznego obrazka, który śmiało zaliczyć można do najlepszych nowel Dygasińskiego.

Inne utwory w zbiorze „Z naszej niwy“ nie stoją już na tej wysokości. W „Maćku Fule,“ „Znajdce“ i „Panu referencie“ powtarza autor w różnych odmianach zużyty już dziś motyw swego „Niezdary“; „Wróble“ są ciekawym, lecz pozbawionym wyższego artyzmu owocem drobiazgowej obserwacyi nad różnymi objawami życia ptaków i ludzi; bajka z czasów pogańskich p. t. „Żel“ jest stanowczo za rozwlekła, jak na utwór fantastyczno-alegoryczny; w krwawym wreszcie epizodzie „W parafii świętego Huberta“ mamy zaledwie szkic jakiś ogromnie melodramatycznej, pełnej zabójstw powieści o dwóch braciach, kochających się w jednej pięknej wdowie, ale ani śladu prawdopodobieństwa, ani cienia nawet psychologii. W dodatku autor używa tu zwrotu nie polskiego: „Podbiegł i pan Antoni, *oczom którego* przedstawił się przerażający widok.“ Bywają, niestety, błędy stylistyczne, których nawet pierwszorzędni pisarze pozbyć się jakoś nie mogą.

Władysław Bukowiński.

MALARSTWO.

Obcy i swoi.

III.

Sposób *pojmowania natury* przez malarza (mam tu na myśli specyalnie pejzaż) jest tem, co przedewszystkiem, a nawet jedynie stanowi o jego oryginalności. Powinien on być u każdego artysty innym, w przeciwnym bowiem razie różniłyby się ich dzieła jedynie lepszą lub gorszą techniką, byłyby lepszemi lub gorszemi fotografiami. Na czem ten sposób pojmowania, ściślej mówiąc, odczuwania przyrody polega? Naprzód na upodobaniu artysty do pewnych określonych motywów — i to rzecz główna — oraz na niektórych względach natury przeważnie technicznej. Przez tę sympatyę dla specyalnych motywów nie należy bynajmniej rozumieć, że jeden maluje tylko łąki, drugi tylko lasy, trzeci — wody itd., lecz że artysta lubuje się we fragmentach natury o pewnym charakterystycznym nastroju, kocha przyrodę w niektórych zwłaszcza, jeśli tak powiedzieć można, jej momentach psychicznych, najczęściej odpowiadających psychologii samego artysty. Ten rodzaj, jeśli już nie sposób odczuwania polega nieraz jedynie na specyalnem zamiłowaniu do pewnych chwil dnia, lub pór roku, nawet do szczególnego oświetlenia lub kolorytu. Dzięki tym cechom łatwo jest zazwyczaj poznać po płótnie pędzel, nie czytając podpisu.

Jeśli na wystawie obrazów zobaczycie pejzaż, którego motywu jeszcze nie przerabiał cały tłum miernot, żyjących naśladownictwem, jeśli motywu tego nie psuje zapożyczona od kogoś technika, lecz jest, może nie wyrobiona, ale jakaś własna, to bądźcie pewni, że artysta, który obraz namalował, ma talent, umie w oryginalny, sobie tylko właściwy sposób odczuwać przyrodę. Takim niewątpliwie jest p. Ruszczyc. Z nazwiskiem tem spotykamy się u nas po raz pierwszy, i odrazu budzi ono szacunek. Szereg krajobrazów, wystawionych przez p. R. dowodzi, że twórca ich jest artystą poważnym. W jaki sposób pojmuje on przyrodę? Przedewszystkiem czuć, że zbliża się do niej z głębokiem uszanowaniem, z podziwem i poczuciem małości człowieczej. Ze wszystkich jego płócien przemawia ona do nas z siłą olbrzymią, z potęgą żywiołową, wobec której człowiek jest marnym prochem. Najcharakterystyczniejszym pod tym względem jest obraz p. t. „Ziemia.“ Ogromny szmat pookrywanego gdzieniegdzie płachtami chmur nieba; na tem polnem grozy tle odrzyna się wyraźnym konturem łukowaty grzbiet wzgórza, które ciągnionym przez parą wołów pługiem podorywa z nieludzkim wysiłkiem człowiek drobny, śmiesznie mały w tym obszarze. Całego tego napięcia sił, mięśni, nerwów ludzkich nie odczuwa ten potężny garb ziemski, którego skórę drapie zaledwie pług, nie widzą tego gdzieś po niebie szybujące orle chmury. To przeciwstawienie małości człowieka do gromu i potęgi przyrody jest w „Ziemi“ oddane z szczerem uczuciem i wielką siłą; technicznie jednak obraz ten nie jest najlepszem dziełem Ruszczyca, szwankuje bowiem nieco pod względem logiki tonów: przy tym kolorze i oświetleniu nieba nieprawdziwym jest ciemny, podznaczony fioletem ton ziemi.

„Ziemia“ jest jedynym obrazem Ruszczyca, w którym artysta pozwolił sobie na przedstawienie większej panoramy, i to jak gdyby tylko dla kontrastu z człowiekiem. Po za tem maluje zaledwie skrawki, ułamki natury. Wygląda to, jak gdyby przyroda była dla niego czemś tak wielkiem i tak świętem, że on, człowiek-proch, pozwala sobie na odtwarzanie tylko jej okruchów. I te właśnie okruchy należą do najlepszych prac Ruszczyca. Takie np. „Skały nabrzeżne,“ a właściwie zaledwie drobne kawałki skał, odbijające się w „kawałku“ wody, są w swoim rodzaju perełką prawdy i talentu. Malowane, jak gdyby na jednem posiedzeniu, jednym rozmachem, niewielkiemi, nadzwyczajnie śmiało rzucanemi płaszczyznami, bez wszelkiego krępowania się linią, bez obawy przed kolorem, wprost żyją wraz z wodą szczerem, prawdziwem życiem. Doskonały jest również „Ostatni śnieg,“ iskrzący się i topniejący na słońcu; szkoda tylko, że pnie drzew, a raczej początki pni, są jakoś ledwie podłożone i tak mało bryłowate, że rozlażą się po płótnie. Bo taką już właściwość ma Ruszczyc, że obraz maluje dla jednej rzeczy, dla jednego skrawka, jak gdyby mówiąc: „Bądź szczęśliwy, jeśli potrafisz odtworzyć choć jeden paznokieć na nodze Bogini-Przyrody.“ To też może tylko owe „Skały nabrzeżne“ tworzą zupełnie skończoną całość. Artysta umie oddać również nastrój przyrody, dowodem czego „Wieczór wiosenny,“ pełen rzeczywistej ciszy, ciepła i nieba wiosennego; jedynie zieleń traw i drzew niezupełnie jest wierną w kolorze. We wszystkich obrazach Ruszczyca mało mamy słońca: wieczór, światło księżycowe, dzień pochmurny — to, zdaje się, ulubione tematy jego. Tylko po „Skałach“ sieje ono złote promienie swoje...

IV.

„Sztuka“ krakowska zawitała do nas po raz pierwszy przed trzema, zdaje się, laty. Wystąpiła bogato, interesująco, jak gdyby pragnęła wstępnym bojem zdobyć Warszawę. I zdobyła. Ale wtedy artyści krakowscy przysłali to, co mieli u siebie najlepszego, najpiękniejszego. Niestety, zapał (ma się rozumieć względem Warszawy jedynie) prędko ostygł, nawet zasada, głosząca, że „szlachectwo obowiązuje“ do podtrzymania splendoru, poszła w kąt, z każdym następnym rokiem wystawa „Sztuki“ stawała się coraz mniej interesującą, aż wreszcie w roku bieżącym Kraków nam przysłał „wybierki i resztki,“ które pozostały po wysłaniu rzeczy najlepszych na wystawę austryacko-węgierską do Petersburga i na międzynarodową do Paryża. Ale i te resztki są takie, że warto się w nich rozejrzeć.

Prof. Wyczółkowski zajął swymi portretami i studyami cały boczny salon Tow. Zachęty. Są to przeważnie pastele, dodajmy odrazu, bardzo nierównej wartości. Obok starca niewątpliwie doskonałego, wybornego w rysunku i wyrazie, znużonego czy śpiącego, mamy kilka zupełnie słabych, jak gdyby nie tą samą ręką malowanych głów kobiecych, z których jedna, pani B., chyba przypadkiem znalazła się na wystawie. Do dobrych portretów zaliczyć trzeba: prof. K., Sienkiewicza, oraz wybornie oświetlony portret olejny autora, który już kiedyś, w szkicu, zdaje się, widzieliśmy przed laty.

Jacek Malczewski dał parę rzeczy, które pod względem technicznym mają wspólną cechę wszystkich prac jego: są znakomite, prawie zawsze, w rysunku, lecz słabe w kolorze. Doskonałe są dwa jego studya o rysach wyraźnych, plastycznych, jak gdyby rzeźbionych; są oryginalne „Dzieje piosenki," którą śpiewakowi poddają na fletniach smętne fauny; jest i „Jesień" dziwna, oryginalna i brzydka, pełna faunów i źle namalowanych, a nawet nieświetnie narysowanych nimf, które swym chichotem straszą konia, zrzucającego z grzbietu jeźdźca; jest wreszcie „Chiromantka," ten przez Malczewskiego stworzony bajeczny potwór-kobieta z rybim ogonem i lwiemi łapami, jak zwykle sina, wróżąca coś z ręki artyście.

Fałat tym razem nadesłał dwa pejzaże olejne, po których znać, że artysta wprost nie potrafi wyjść z techniki akwarelowej. I jest to właściwość wszystkich prawie akwarelistów. Dziwne to, że artyści, malujący olejno, nieraz z łatwością przerzucają się do farb wodnych; droga odwrotna bywa zazwyczaj stokroć trudniejszą. Dowodem Fałat: mistrz akwareli staje się słabym, gdy się bierze do farb olejnych.

Wyspiański i Mehoffer nie popisali się tym razem niczem wybitnem. „Smutek" pierwszego — to znów ta sama, tyle razy przezeń malowana dziewczynka, z tymi samymi szeroko i ciemno naznaczonymi konturami, wyraz tylko, jak zwykle u Wyspiańskiego, doskonały. Mehoffera „Pokusy" tłomaczą się niejasno: niewiadomo, czy ta ciekawa, nadzwyczajnie silna i namiętna głowa kobieca jest upostaciowaniem pokus, czy też ją samą dręczą one, usymbolizowane przez węże, wijące się na tle obrazu.

Pejzaż ma przedstawiciela w Stanisławskim i Chełmońskim. Pierwszy dał przepyszny w kolorze, pełen blasków i życia „Ogród," drugi — dwa krajobrazy, które jakkolwiek nic nowego do twórczości artysty nie wnoszą, są ciekawe, pełne ciszy i nastroju.

Byłaby więc cała wystawa „Sztuki" dość średnią ogólnie biorąc, gdyby nie jedna rzecz prawdziwie znakomita, pełna natchnienia i tak drgająca życiem, że wprost na całą wystawę rzuca blaski, na jakie zdobyć się może tylko wielki talent; mowa tu o „portrecie rodziców" młodego malarza krakowskiego, Weissa. Gdyby ktoś chciał pomyśleć sobie sposób, w jaki możnaby wyrazić najwierniej stosunek wzajemny dwojga istot do siebie, oraz wspólny — do życia, nie mógłby wynaleźć chyba nic lepszego, nic bardziej charakterystycznego, niż to, co wypowiedział Weiss. Znać, że po tych dwojgu ludziach, przytulonych do siebie, trzymających się za ręce, przeszło twarde życie, które zostawia na twarzach głębokie brózdy, posypuje popiołem włosy i garbi plecy. Lecz silni byli wzajemną miłością, zaufaniem, uczuciem i wiarą. A choć mroki życia zamgliły wzrok mężczyzny, nie potrafiły jednak spędzić jakiejś cichej, jasnej pogody, rozlanej na twarzy kobiety. I to wszystko ze zdumiewającą prawdą, z jakąś cichą a wielką prostotą i skromnością mówi sam portret, sam pędzel artysty, nie zmuszając widza ani do domyślników, ani do błąkania się po manowcach, z których wybiega pytanie: „co artysta chciał przez obraz swój powiedzieć?" Tak malował portrety Holbein. Weiss do ideału Holbeinowskiego jeszcze nie doszedł, nie wiem, czy kiedykolwiek do niego dojdzie, bo mu brak tej wspaniałej techniki, która z farby wydobywa żywe, niepodrabiane ciało, szczery prawdziwy kolor. Dla *pracy* artysty pozostaje na tem polu jeszcze wiele do zdziałania...

*

Tu zamknijmy rachunki dnia. Wystawy ostatnie czynią na ogół wrażenie ogromnie dodatnie. Nowe prace artystów starszych: Hirszenberga, Stanisławskiego, Mehoffera, Wyspiańskiego, Pilichowskiego i in., pojawienie się talentów nowych, Okunia, Ruszczyca, Weissa, Trzebińskiego — oto fakty, dowodzące, że sztuka nasza żyje i rozwija się. Jednocześnie zwarty szereg młodych i utalentowanych poetów, których wystąpienie dobitnie potwierdziły wyniki konkursu poetyckiego *Prawdy* — oto jak gdyby zwiastuny zbliżającej się chwili rozwoju, nowego rozkwitu sztuki polskiej. Dziś już do oceanu sztuki europejskiej niesie ona żywe fale strumienia. Czy strumień ten nie stanie się wkrótce rzeką?...

Michał Mutermilch.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYA. J. Klaczko: „Juliusz II," Rzym i odrodzenie, z. III. W. Okręt.

PRAWO. A. Mogilnicki: „Sądy administracyjne" (przedruk z *Gaz. sądowej* — 193 str.).

GOSPODARSTWO SPOŁECZNE. Dr. S. Grabski: „Der polnische Nationalökonom Graf F. Skarbek" (odbitka z „Zeitschr. f. Volkswirt. Socialpolit. u. Verwalt."

POWIEŚCI. J. Dąbrowski: „Nowele" (177 str.). J. Fiszer.

— T. Jeske-Choiński: „Tyara i korona," „Bibl. dzieł. wyb."

POEZYE. E. Rostand: „Romantyczni," komedya w 3 aktach, tłom. L. Belmont (96 str.). Centnerszwer.

PAMIĘTNIKI. H. Szuman: „Wspomnienia berlińskie i poznańskie z r. 1848," „Bibl. dzieł wyb."

KALENDARZE. „Czas," kalendarz łódzki. Doskonały informator, na jaki Warszawa pomimo tylu kalendarzy zdobyć się nie może.

PORADNIKI. „Wesele," poradnik dla wstępujących w związki małżeńskie (48 str.). Dubowski.



Dusze.

Nocy, marzeń piastunko, ty jesteś szczęśliwą!
Masz duszę, w której płomień ukryty się żarzy,
Piętno wiekuistości nosisz na swej twarzy,

Na głowie masz gwiaździsty, promienny dyadem,
Rosa perły ci ściele drogi twojej śladem,
A kwiaty tkają tobie swych woni przędziwo.

Ilekroć mrok rozściele kirów twych dywany,
Dusze ludzkie klękają przed tobą szeregiem,
Oddzielone od siebie srebrnobiałym ściegiem

Księżycowej jasności... A modlitw ich chóry
Stapiają się w hymn wielki, groźny i ponury,
Hymn zwątpień beznadziejnych krwi nicią dziergany...

O co One się modlą? Czemu łkają? Czemu?
Czy o błękity ciszy lub szału purpurę?
O jakieś skrzydła białe lub złocistopióre?

Może o jedną gwiazdę z twego dyademu?

Tadeusz Skarga.

W DALI.

Łódź. Członkowie sekcyi technicznej Towarzystwa przemysłu i handlu w Łodzi postanowili starać się o wyjednanie pozwolenia na kasę zabezpieczającą byt rodzinom po technikach zmarłych. — D. 25 stycznia zgorzały zakłady fabryczne S. Rosenblatta (gmach trzypiętrowy, mieszczący przędzalnię bawełny z odpadków bawełnianych i motalnie). Majstrów i robotników fabrycznych, niosących ratunek w czasie pożaru, przygniotła ściana. Wielu zabitych i pokaleczonych. Straciło chwilowo zajęcie 450 robotników.

Piotrków. Dzięki zabiegom p. Srzednickiego, w Piotrkowie odbędą się odczyty na rzecz Towarzystwa dobroczynności. W pierwszej seryi mówić będą: p. D. Kleyn „O stylach w architekturze," p. G. Levy „O kobiecie w prawie cywilnem i handlowem," p. S. Młodowski „O poglądach filozoficznych Mickiewicza i Schillera," dr. K. Nencki „O nowych źródłach oświetlenia," p. Niepokojczycki „Z zakresu pedagogiki," dr. Rosłan „O hygienie pracy umysłowej." Udział w drugiej seryi odczytów przyrzekli: inż. Jacobson, prof. I. Kański i pani Dobrzańska.

Kalisz. Żywe zajęcie budzi wystawa archeologiczna, której otwarcie w Kaliszu zapowiedziano na kwiecień. Komitet stara się zgromadzić możliwie najcenniejsze i najciekawsze okazy. W tym celu rozesłano liczne odezwy. Oto spis przedmiotów wystawy: 1) zabytki paleontologiczne: rogi i kości zwierząt przedhistorycznych, skamieniałości; 2) okazy, pochodzące z wykopalisk: urny, zabytki kamienne, żelazne, bronzowe, toporki, siekierki, bełty, groty, kolczyki, strzały, paciorki; 3) zabytki kościelne: monstrancye, kielichy, relikwiarze, pacyfikały, ornaty, misy metalowe, nalewaczki, zwłaszcza w kształcie lwów lub innych zwierząt, mszały, antyfonarze; 4) rękopisy, przywileje, pieczęcie; 5) stare i rzadkie druki, oprawy, mapy, atlasy; 6) druki kaliskie, bez względu na epokę wydania; 7) numizmaty i medale; 8) broń i uzbrojenia: hełmy, pancerze, ryngrafy, stare mundury, miecze, karabele, broń palna, przybory łowieckie; 9) stare ubiory, pasy; 10) starodawne meble, gobeliny, makaty, sprzęty domowe i podróżne; 11) zabytki cechowe: skrzynie, lady, kurki i godła strzeleckie; 12) stare portrety historyczne i rodzinne: 13) okazy sztuki ceramicznej i złotniczej: porcelana i emalie; 14) utwory malarstwa i rzeźby: obrazy, miniatury, ryciny, sztychy; 15) okazy etnograficzne: stroje ludowe, charakterystyczne sprzęty i narzędzia, pisanki; 16) zabytki żydowskie: stare świeczniki, rodały, makaty, bindy, drzewa genealogiczne; 17) fotografie zabytków, w obrębie gub. Kaliskiej położonych: kościołów, kaplic, pomników, grobowców, zamków, dworów, plany grodzisk, nasypów, zwłaszcza t. z. gór szwedzkich; 18) wszelkie osobliwości i pamiątki godne umieszczenia na wystawie. Odbiór nadsyłanych okazów, jak również wszelkie szczegóły, dotyczące wystawy archeologicznej, załatwia zarząd, złożony z pp. Zygmunta Wyganowskiego przewodniczącego, Alfonsa Parczewskiego zastępcy przewodniczącego i Juliana Biernackiego sekretarza.

Suwałki. D. 13 stycznia rozpoczęło działalność Towarzystwo kredytowe m. Suwałk. Ster nowej instytucyi powierzono adwokatowi przysięgłemu, p. Staniszewskiemu. Mieszkańcy Suwałk cieszą się z Towarzystwa, mają bowiem nadzieję, że się ożywi ruch budowlany i tym sposobem spadną zbyt wygórowane obecnie ceny mieszkań. Pod względem hygienicznym miasto również zyska, gdyż nareszcie znajdzie się sposobność usunięcia starych brudnych i niezdrowych ruder. Wreszcie ruch budowlany da zarobek wielu ludziom.

Ryga. W r. 1901, na pamiątkę siedemsetnej rocznicy istnienia miasta urządzona będzie wystawa przemysłowa, której zadaniem jest zobrazowanie rozwoju przemysłu i rzemiosł w prowincyach nadbałtyckich. Program: artykuły spożywcze, przemysł przędzalniczy, skóry, budownictwo i urządzenia mieszkań, przemysł garncarski, wyroby z drzewa, słomy, metalu, mechanika, budowa maszyn, elektrotechnika,

przemysł chemiczny, papier, przemysł drukarski, sztuka stosowana, szkolnictwo przemysłowe, instytucye dobroczynne i ogrodnictwo. Na wystawę przyjmowane będą jedynie okazy, pochodzące z prowincyj nadbałtyckich. Wyjątek uczyniono tylko dla przedmiotów, dotyczących ochrony od wypadków.

Lublin. Zarząd miasta na wzór Warszawy rozpoczął sprzedaż węgli dla ludności ubogiej. Dzięki temu cena węgli w składach prywatnych spadła z 2 rb. na 1 rb. 60 kop. za korzec. — Z powodu iż w gub. Lubelskiej rozwinęli działalność naganiacze do wychodźctwa, *Lub. gub. wied*, zamieściły następującą, bardzo ważną informacyę: „Prośby niektórych włościan z pow. Chełmskiego, Hrubieszowskiego, Krasnostawskiego i Zamojskiego do ministeryum rolnictwa i dóbr państwa o pozwolenie osiadania na gruntach skarbowych w Syberyi, kancelarya General-Gubernatora warszawskiego przesłała do rozpoznania naczelnika gub. Lubelskiej. P. Gubernator próśb nie uwzględnił, ponieważ obowiązujące w guberniach Cesarstwa przepisy o przesiedlaniu włościan i mieszczan na grunty skarbowe w Syberyi nie dotyczą mieszkańców kraju tutejszego. Przytem proszących pouczono: 1) że ponieważ przepisów owych nie wprowadzono w życie w Królestwie Polskiem, więc proszącym nie można wydać pozwolenia ani na wysyłkę ruchomości do Syberyi, ani na przesiedlenie się stąd na grunty wspomniane, ani świadectwa na przejazd kolejami za cenę niższą. 2) Na mocy obowiązujących w Cesarstwie przepisów włościanie, osiedlający się w Syberyi, nie są przewożeni na koszt skarbu i nie otrzymują tam od skarbu ani bydła, ani pieniędzy na zagospodarowanie. 3) Ten, ktoby opowiadał co innego i pobierał opłatę za napisanie prośby o pozwolenie na przesiedlenie do Syberyi, będzie pociągnięty do odpowiedzialności karnej, ponieważ swojemi niepodobnemi do prawdy bajkami o Syberyi wprowadza w błąd łatwowiernych włościan, celem uzyskania zapłaty za napisanie prośby nieuzasadnionej."

Moskwa. Odbył się w Moskwie zjazd nauczycieli fizyki i chemii. Powzięto dwie ważne uchwały: Wykłady powinny być oparte na doświadczeniach. Należy porzucić metodę scholastyczną, lecz brać za podstawę zjawiska konkretne przy nauce matematyki. Należy jednak nauczycielowi powierzyć wykład fizyki, chemii i kosmografii. Ten sam nauczyciel ma być zarządzającym gabinetem fizycznym. Przy gabinetach owych należy stworzyć klasy wykładowe ze specyalnemi urządzeniami do doświadczeń. Na zarząd gabinetu i doświadczenia powinna być wyznaczona osobna pensya w sumie 480 rb. Zjazd wyraził życzenie, aby uniwersytety otworzyły podwoje dla nauczycieli, pragnących doskonalić się w umiejętności dokonywania doświadczeń, poczem postanowiono wszcząć zabiegi o uwolnienie od formalności celnych aparatów fizycznych, sprowadzanych z zagranicy, oraz o oddanie do rozporządzenia nauczycieli nauk fizyczno-chemicznych funduszów, wyznaczanych na dopełnienie brakujących przyrządów w gabinetach szkół średnich. Wobec braku podręczników oraz nieodpowiadającego wymaganiom obecnego stanu nauki programu wykładów kosmografii w gimnazyach, na wniosek prywat-docenta Steinberga postanowiono opracować nowy program wykładu kosmografii dla szkół średnich, polecając to zadanie wnioskodawcy, a Towarzystwu pedagogicznemu w Moskwie rozesłanie wypracowanego programu wszystkim nauczycielom szkół średnich, celem jak najobszerniejszego rozważenia tej sprawy. Zjazd, wyrażając ubolewanie nad zaniedbaniem działu nauk fizyczno-chemicznych w gimnazyach żeńskich, biorąc pod uwagę ważną rolę kobiety, jako wychowawczyni młodych pokoleń, wypowiedział się za zupełnem zrównaniem warunków wykładu nauk fizyczno-chemicznych w średnich szkołach żeńskich z warunkami szkół średnich męskich.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Sfery rządowe zwróciły uwagę na konieczność rozszerzenia granic terytoryalnych prawnego zamieszkania Żydów, celem zapobieżenia nadmiernemu skupianiu się ich w jednem miejscu.

— Ministeryum skarbu złożyło komitetowi ministrów projekt ustawy „Instytutu" buchhalterów. Będzie on miał prawo: wydawania czasopisma, utrzymywania bibliotek i czytelni, urządzania odczytów i pogadanek, zwoływania zjazdów itd. Członkowie, po zdaniu odpowiedniego egzaminu, otrzymują tytuły księgoznawców stopnia pierwszego i drugiego, którzy utworzą grupę buchhalterów-rzeczoznawców przysięgłych. Sprawami „instytutu" zarządza rada z wyborów w Petersburgu. Mają być urządzane oddziały miejscowe.

Szkoły. W Smogorzewie, w gminie Goździków, pow. Opoczyńskim, włościanie postanowili zbudować dom murowany na szkołę początkową. Roboty rozpoczną się na wiosnę, a kosztować będą 3,050.

— Dziekanem wydziału historyczno-filologicznego w uniwersytecie warszawskim po prof. G. K. Uljanowie, który został rektorem, mianowany prof. zwyczajny A. I. Smirnow.

— *Now. Wr.* donosi, że ostateczne rozstrzygnięcie sprawy „uniwersytetów ludowych" odroczono do roku przyszłego. Obecnie zgromadzono już zdania wszystkich kuratorów okręgów naukowych, jaknajprzychylniejsze dla sprawy. Roztrząsa je komitet naukowy ministeryum oświaty.

— W uniwersytecie warszawskim, stosownie do rozporządzenia ministeryum, wprowadzono ścisłą kontrolę studentów, uczęszczających na wykłady.

— Inspektor szkół m. Warszawy podniósł sprawę powiększenia płac nauczycielkom szkół miejskich.

Z sądu. Drugi wydział karny warszawskiego sądu okręgowego rozstrzygnął sprawę dwu stójkowych, oskarżonych o zrabowanie szwaczki Heleny Pińczykowskiej. Jednego z rabusiów, 23-letniego Michała Sobczyka, skazano na 3½ roku rot aresztanckich z pozbawieniem wszystkich praw i przywilejów, drugiego, 26-letniego Maksyma Tiszczenkę, na 3 lata rot aresztanckich.

— W tych dniach na sesyi izby sądowej charkowskiej w Orle, roztrząsana będzie sprawa o zaburzenia w fabryce briańskiej. Do odpowiedzialności pociągnięto 58 osób. Obronę wnosić będą adwokaci przysięgli z Moskwy: Plewako, Murawjew i inni.

Odczyty. Na dochód osad rolnych zapowiedziano następujące odczyty (w marcu): p. Stanisław Bełza: „W Pirenejach," dr. Aleksander Fabian: „U schyłku wieku" (dwa), dr. Maksymilian Flaum: „Ból," p. Wiktor Gomulicki: „O Słowackim," p. Walery Gostomski: „Ernest Hello, jako człowiek, poeta i myśliciel" (dwa odczyty), p. Kazimierz Gliński: „O Sienkiewiczu," adw. przys. Jan Maurycy Kamiński: „Nie zabijaj," p. Stanisław Kramsztyk: „Łokciem i miarką," p. Walerya Marrené-Morzkowska: „Symbolista z przed pół wieku," dr. Henryk Nusbaum: „Ideał prawdy" (dwa odczyty), adw. przys. Antoni Pilecki: „Poeci pesymizmu," rejent Wiktor Szumański: „O pojedynku," prof. Józef Wabner: „Pedagogia i szkoła" (dwa odczyty).

Gospodarka miejska. Przy kancelaryach cyrkułów policyjnych w Warszawie postanowiono otworzyć sekcye adresowe. Będzie to bardzo ważne udogodnienie dla mieszkańców.

Finanse. Dochód z telegrafu rządowego w państwie rosyjskiem w ciągu r. z. wynosił 15,202,438 rb., a więc w porównaniu z r. 1898 zwiększył się o 458,833 rb.

Posiedzenie. Na posiedzeniu sekcyi cukrowniczej Towarzystwa przemysłu i handlu w Warszawie poruszono kilka spraw ważnych. Przedewszystkiem scharakteryzowano obecne położenie cukrownictwa. Wytwórcy skarżą się, iż ubiegła kampania nie była pomyślna, do czego się przyczyniły nieprzyjające warunki atmosferyczne, brak robotnika, podrożenie materyałów niezbędnych do fabrykacyi, zniżka cen cukru itd. Wytworzyło to pewną rozbieżność pomiędzy interesami fabrykantów plantatorów. Ażeby te interesy względnie scharmonizować, porozumiano się z sekcyą rolną i stworzono wspólną delegacyę. Na posiedzeniu oznajmiono, iż wkrótce będzie stworzona kasa pomocy dla cukrowników. Udział w niej wezmą także cukrownie kijowskie. W sprawozdaniu delegacyi doświadczalnej zaznaczono brak map agronomicznych, co utrudnia wybór pól doświadczalnych. Zupełnie inaczej rzecz się ma na zachodzie Europy. Tam od dawna istnieją poważne studya geologiczne i agronomiczne, a jako ich wynik — mapy dokładne. W osobnym referacie p. W. Otfinowski zaznaczył brak zespolenia chemików z ogólnym procesem wytwórczym tudzież położył nacisk na nieokreślone położenie tych specyalistów, które wywołuje pytanie: jakie jest właściwe zajęcie chemika po skończeniu kampanii? W dyskusyi wyjaśniono, iż cukrownie dążą do rozszerzania pola ich działalności.

Koleje i komunikacye. Postanowiono zbadać wzrok pracowników kolei Nadwiślańskich. Dotknięci daltonizmem, przeszkadzającym w służbie zewnętrznej, będą przeniesieni na inne stanowiska.

— *Praw. Wiestn.* pisze: „Według przepisów obowiązujących, osoby, pokąsane przez wściekłe zwierzęta i wysyłane do zakładów bakteryologicznych na kuracyę, są przewożone wraz z towarzyszącemi im osobami w wagonach kl. 3 wszystkich kolei za opłatą według taryfy kl. 4, z warunkiem złożenia właściwych świadectw urzędów ziemskich, w miejscowościach zaś, niemających samorządu ziemskiego — świadectw policmajstra lub naczelnika powiatu. Od 3 lutego zaczyna obowiązywać rozporządzenie, którego mocą wszystkie szpitale, posiadające zakłady bakteryologiczne, również mają prawo wydawania świadectw na przejazd powrotny osób wyleczonych według taryfy ulgowej."

Wystawy i zjazdy. W celu udzielania kolegom-rodakom informacyj oraz zgrupowania lekarzy polskich podczas międzynarodowego kongresu lekarskiego w Paryżu, utworzył się komitet, do którego należą następujący lekarze Polacy, zamieszkali lub przebywający chwilowo w stolicy Francyi: Chodźko, Henryk Gierszyński (Onarville), L. Gorecki, Majewicz, Adam Mincer, Bolesław Motz, Osten Maksymilian Pióro, Adam Wrzosek i Józef Zieliński. Zwracać się należy pod adresem dr. Bolesława Motza: „Hôpital Necker, clinique du professeur Guyon."

— Petersburska akademia nauk postanowiła zwołać wkrótce zjazd meteorologów całego państwa. Przedmiotem narad będzie szereg środków, mających na celu rozszerzenie działalności stacyj meteorologicznych.

Przemysł i handel. Zatwierdzono „Towarzystwo anonimowe wyrobu obuwia francuskiego" w Warszawie.

— W „Zbiorze praw" ogłoszono ustawy towarzystw akcyjnych: 1) fabryki maszyn, narzędzi rolniczych i wyrobów żelaznych, dawniej H. Strauch i Kołobrzeg-Kolberg w Warszawie, z kapitałem 500,000 rb. w akcyach 250-rublowych, oraz 2) wykończalni i farbierni tomaszowskiej, zakładanych przez kupca tomaszowskiego, p. Ludwika Herbsta, i poddanego wirtemberskiego Franciszka Dejeza, z kapitałem 300,000 rubli w akcyach 500-rublowych; 3) fabryki obić papierowych Leona Braunsteina w Warszawie z kapitałem 600,000 rubli w akcyach 250-rublowych; 4) towarzystwa handlowo-przemysłowego łódzkiego, założonego przez kupca Luri'ego z Petersburga celem prowadzenia farbierni i wykończalni, z kapitałem 800,000 rb. w akcyach 250-rublowych; 5) fabryki wyrobów pozłacanych i posrebrzanych R. Plewkiewicza w Warszawie z kapitałem 300,000 rb. w akcyach 500-rublowych. Oprócz p. Plewkiewicza założycielem tej spółki jest także poddany wirtemberski, Gustaw Siegle ze Stuttgardtu.

— Departament ministeryum przemysłu i handlu nadesłał do Warszawy zawiadomienie, iż d. 12 stycznia r. b. zatwierdzono ustawę towarzystwa akcyjnego „poszukiwań górniczych i hydrotechnicznych robót świdrowych, z kapitałem rb. 600,000 w akcyach po rb. 250." Założycielami są: inżenier górniczy A. Mirecki, Gustaw Zadwilichowski i Kwiryn Biernacki. Towarzystwo organizuje dotychczasową spółkę udziałową, która powiększa kapitał, ażeby rozwinąć działalność w zakresie górnictwa i poszukiwania wody w miejscowościach niemających źródeł naturalnych.

Katastrofy. Dnia 28 stycznia pociąg pocztowy kolei Riazańsko-Uralskiej na rozjeździe Cna skut-

kiem nieprawidłowo ustawionej zwrotnicy najechał na towarowy. Rannionych trzech ludzi.

— Na przestrzeni Czuwarowo-Maina kolei Moskiewsko-Kazańskiej pociąg towarowy zetknął się z dwoma wagonami. Maszynista ciężko pokaleczony.

— Dnia 28 z. m. pociąg towarowy kolei Syzrańsko-Wiaziemskiej w pobliżu Kaługi zetknął się z wagonami, oderwanymi podczas manewrowania. Zabity konduktor Linia zepsuta, 20 wagonów strzaskanych.

Zmarli. Oskar Widman, we Lwowie, znany i zasłużony lekarz.

— Emil Borkowski, w Krakowie; redaktor pisma humorystycznego *Dyabeł*.

Odpowiedzi Redakcyi.

R. Liberalny znaczy: swobodny.

Panu Hen. H. Pomysł dobry, ale nie rozwinięty.

Panu A. K. Tak, ten sam. Ale on już przedtem występował w podobnej sprawie.

K. T. S. Środki poetyczne w wierszu Pańskim są nadzwyczaj skromne. Oprócz rymów nie ma w nim innych pierwiastków artyzmu.

Panu A. M. w Kaliszu. To nie ulega żadnej wątpliwości, że my natychmiast po otrzymaniu obstalunku *Prawdę* wysyłamy i że sam mechanizm ekspedycyi (za pokwitowaniami pocztowemi) uniemożliwia przerwę. Jeżeli numery giną, to tylko w drodze.

OFIARY.

Na wpisy dla uczniów i studentów: Kółko techników rb. 250.

Wyszedł **tom VII**

PISM
Aleksandra Świętochowskiego,
zawierający **Duchy**, *trzy części.*
Cena 1 rb. 50 kop.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Января 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.